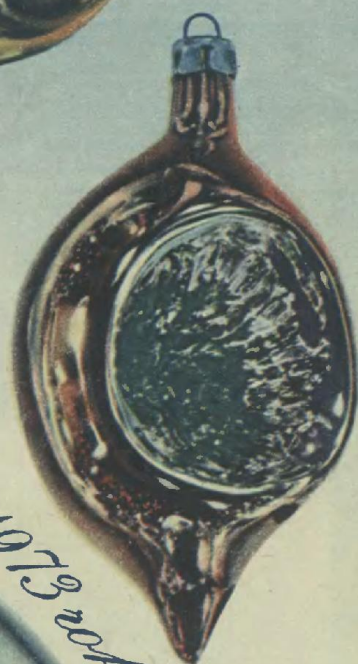
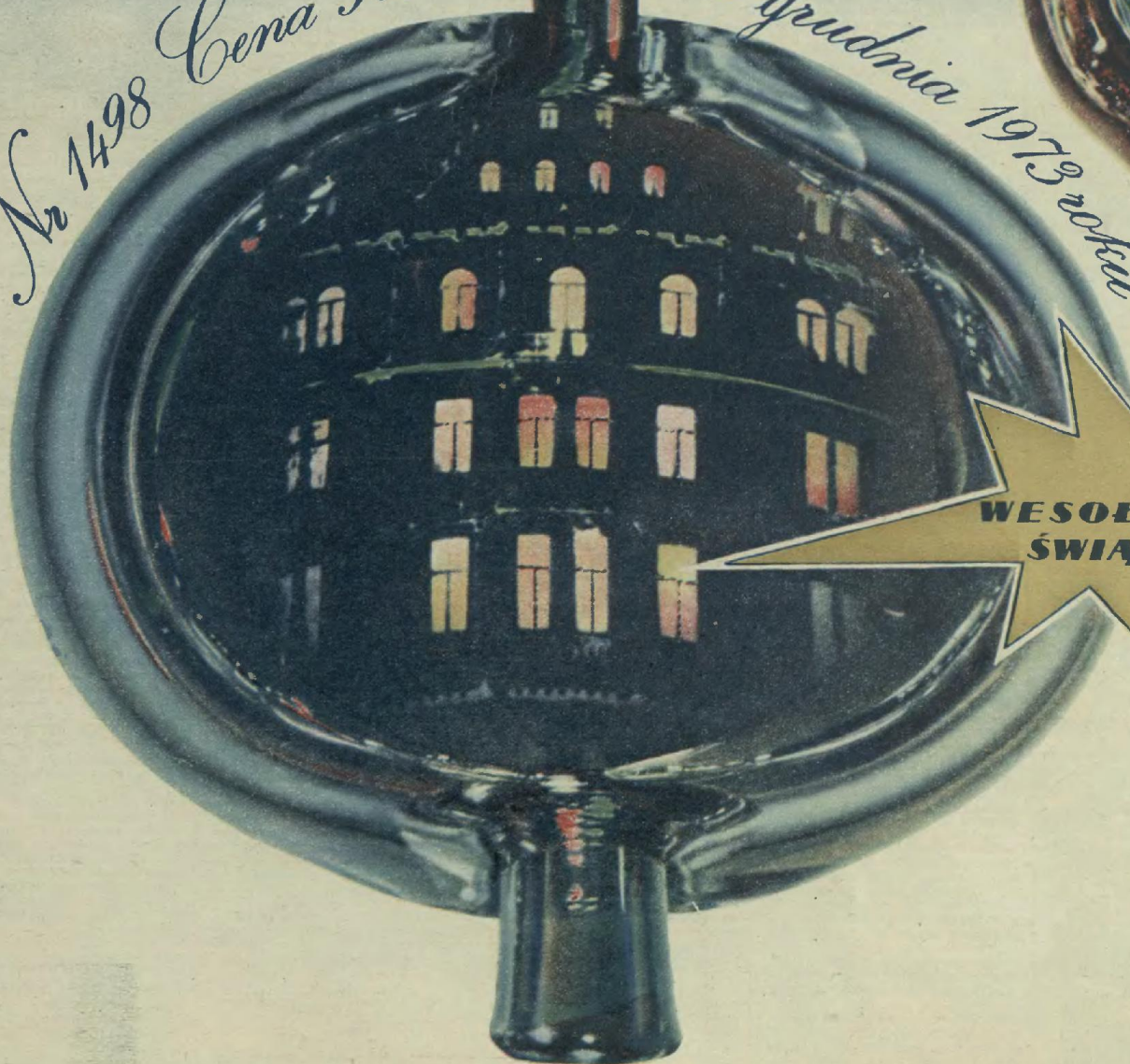


**PRZE
KRÓJ**



Nr 1498 Cena 5 zł

23 grudnia 1973 roku



**WESOŁYCH
ŚWIĄT!**



WSPÓLNA DROGA

Wizyta jugosłowiańskiego premiera Dżemala Bijedicia w naszym kraju ilustrowała tradycję przyjaźni i współpracy między oboma krajami. Wspólne rozmowy jak i opublikowany po tej wizycie komunikat potwierdziły, iż Polska i Jugosławia w wieloletnich problemach międzynarodowych zajmują stanowiska identyczne lub bliskie. W komunikacie końcowym wyrażają się dwie najważniejsze cechy polsko-jugosłowiańskiej współpracy w dziedzinach gospodarczej i handlowej: wzajemność i dostosowanie jej do potrzeb nowoczesności i rewolucji naukowo-technicznej.

Szlak podróży jugosłowiańskich gości po Polsce wiódł także przez liczne zakłady pracy Śląska i Wrocławia, wspólnie z jugosłowiańskimi przedsiębiorstwami. Zgodą dostarcza jugosłowiańskiemu przemysłowi silniki okrętowe, wałeczki i prasy do płyt pilśniowych, „PAPAWAG” — lokomotywy elektryczne i wagony, Fabryka Samochodów Małolitrażowych w Bielsku-Białej, to przykład pomyślnie rozwijającej się kooperacji w przemyśle motoryzacyjnym obu krajów. Szeroka opinia publiczna z uznaniem powitała zapowiedź wzmożenia wymiany w dziedzinie artykułów rynkowych.

PRAGA — BONN

W Czernińskim Pałacu w Pradze — siedzibie czeskosłowackiego MSZ — podpisany został układ o normalizacji stosunków między CSRS i NRF. Pod tym ważnym dokumentem podpisy złożyli premier Lubomir Štrougal i kanclerz Willi Brandt oraz obaj ministrowie spraw zagranicznych, Chrloupek i Scheel. Jednocześnie oba rządy postanowiły nawiązać stosunki dyplomatyczne i otworzyć ambasady w Pradze i Bonn.

Układ Praga — Bonn przekreśla postanowienia monachijskie z września 1938, które zmusiły Czechosłowację do odstąpienia III Rzeszy Sudetów. Podpisane w Pradze dokumenty, mówiące o normalizacji stosunków między oboma państwami, kończył proces, rozpoczęty przed trzema laty układami w Moskwie i Warszawie. Zostaje otwarta droga do nawiązania stosunków dyplomatycznych między NRF a Węgry i Bułgarią.

Na zdjęciu poniżej: premier



Sztrougal i kanclerz Brandt podczas ceremonii powitanej na lotnisku.

BLISKI WSCHÓD

Rada Bezpieczeństwa ONZ przyjęła rezolucję, wyrażającą nadzieję, iż konferencja genewska w sprawie Bliskiego Wschodu (jej inauguracja przesunięta została z 18 na 21 grudnia br.) podejmie decyzję, przyspieszającą postęp w kierunku ustanowienia sprawiedliwego i trwałego pokoju między światem arabskim, a Izraelem. Konferencji tej przewodniczyć będzie sekretarz generalny ONZ Kurt Waldheim.

Amerykański sekretarz stanu Kissinger kontynuował podróż po krajach Bliskiego Wschodu. W rozmowie z królem Arabii Saudyjskiej Fajsałem starał się go skłonić do uchylenia embargo na dostawy ropy naftowej do USA. Monarcha saudyjski miał potwierdzić zajęte wcześniej stanowisko: stanie się to możliwe jedynie etapami, w miarę jak Izrael przystąpi do wycofywania się z ziem arabskich.

Kissinger jest pierwszym amerykańskim sekretarzem stanu, który w okresie od 1953 roku odwiedził Damasek. Amerykański sekretarz stanu spotykał się kolejno z egipskim ministrem spraw zagranicznych Ismailem Fahmim oraz ambasadorami ZSRR i Francji. W tym czasie w rejonie Wzgórz Golan doszło do starć między siłami syryjskimi z izraelskimi, które próbowały umocnić tam swoje pozycje.

SZUKANIE „TOŻSAMOŚCI”

Kryzys energetyczny zaostriżył sprzeczności między Stanami Zjednoczonymi, a Europą zachodnią. Przejawem tego było starcie między francuskim ministrem spraw zagranicznych Jobertem, a amerykańskim sekretarzem stanu Kissingerem podczas sesji rady ministerialnej NATO w Brukseli. U podłoża tego starcia, jak potwierdzają obserwatorzy, leży kontrowersja między „tożsamością (zachodnią) europejską” z jednej strony, a „jednością transatlantycką” (tj. bezwzględna wierność wobec USA) z drugiej.

Temat ten był również przedmiotem rozmów „szczytu” EWG w Kopenhadze z udziałem szefów państw i rządów dziewięciu krajów zachodnioeuropejskiej wspólnoty. Uczestnicy obrad omówili problemy współpracy wewnątrz wspólnoty, perspektywy utworzenia unii europejskiej, uchwalili deklarację o obliczu Europy zachodniej oraz omówili szereg EWG z krajami europejskimi. Wiele miejsca w toku debaty zajęła sprawa kryzysu energetycznego.

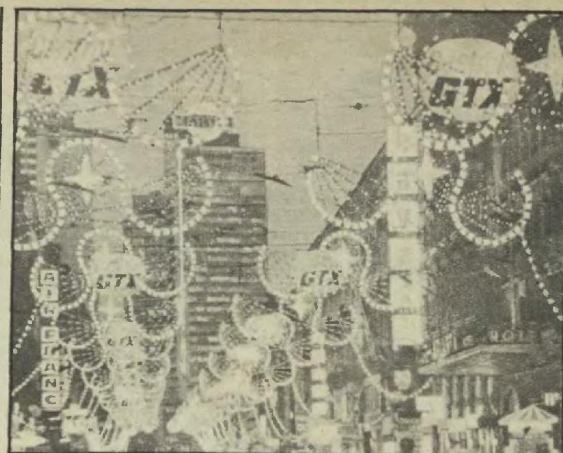
Pragnąc podkreślić niechęć do zależności od USA deklaracja stwierdza, że stosunki EWG ze Stanami Zjednoczonymi powinny być oparte na zasadzie równości. Dokument wyraża z jednej strony niezdrowość obecności amerykańskich sił zbrojnych na kontynencie europejskim, a z drugiej — konieczność współpracy z ZSRR i krajami wschodnioeuropejskimi.

Przedstawiciele „dziewiątki” zachodnioeuropejskiej spotkali się z ministrami czterech państw arabskich — Tunezji, Algierii, Sudanu i Abu-Dhabi, manifestując wolę efektywnego działania na rzecz uregulowania sytuacji na Bliskim Wschodzie.

KRYZYS ENERGETYCZNY...

...trwa nadal, a w Stanach Zjednoczonych stał się zjawiskiem, którego nie należy przeceniać i prowadzącym do poważniejszych następstw ekonomicznych, niż wynikało to z początkowych ocen. Agencje podkreślały, że dość humorystycznie przedstawiają się wyniki oszczędności paliwa po ograniczeniu szybkości samochodów do 80 km/godz. W godzinach szczytu tworzą się ogromne korki, a nikt nie wygasa silników, które z reguły mają wysoka pojemność. W dużej mierze ograniczenie szybkości prowadzi do zwiększenia zużycia paliwa.

Siedem amerykańskich towarzystw lotniczych zamierza zawiesić w przyszłym roku 950 tys. lotów ze względu na brak paliwa. Linie PAN planują do 10 stycznia zwolnić 1000 pracowników, a w pierwszych miesiącach 1974 roku 25 tysięcy.



Na weekend, na Florydzie, prezydent Nixon postanowił udać się pociągami. Mimo ograniczeń energetycznych i paliwowych, główna ulica w Brukseli przybrała świąteczny wygląd (zdjęcie u góry).

Z KRAJU

DEBATA SEJMOWA. W dwudniowych obradach Sejm przyjął uchwałę o planie społeczno-gospodarczego rozwoju kraju w 1974 r. i ustawę budżetową na rok przyszły. Batalia o pełne urzeczywistnienie celów i zadań przyszłego planu, rozegra się — jak stwierdził premier Jaroszewicz — na trzech kluczowych odcinkach gospodarczego frontu: w sferze pieniężno-rynkowej, w inwestycjach oraz w handlu zagranicznym.

Premier w swoim wystąpieniu podkreślił: nie będziemy tolerowali faktów niewykonania zadań produkcji artykułów przeznaczonych na rynek. Aktywny stosunek do potrzeb rynku będzie istotnym kryterium oceny kierowniczej kadry zakładów.

W CAŁYM KRAJU odbywały się pierwsze, uroczyste sesje nowo wybranych rad narodowych, obejmowały swoje urzędy wojewodowie, prezydenci miast i naczelnicy powiatów.

ŚWIATOWY REKORD. Budowniczości elektrowni „Kozienice” pobili rekord światowy, przekazując w ciągu jednego roku cztery bloki energetyczne o łącznej mocy 800 megawatów. Dzięki przyspieszeniu cyklu realizacji inwestycji elektrownia „Kozienice” uzyskała już dziś moc tysiąca megawatów, tj. o 400 MW wyższą od planowanej. Pozwoli to wyprodukować dodatkową energię wartości 780 mln złotych.



Na uroczystości przekazania do użytku piątego bloku energetycznego przybyli Edward Gierek i Piotr Jaroszewicz (na zdjęciu), składając gratulacje i podziękowanie załogom za rekordowe tempo budowy tej ważnej inwestycji.

CWIERCIEWIECZ „TRYBUNY LUDU”. Wraz z powstaniem PZPR ukazał się 16 grudnia 1948 pierwszy numer jej centralnego organu prasowego — „Trybuna Ludu”. Z okazji jubileuszu czterdziestolecia Komitetu Centralnego odbyło się spotkanie członków Biura Politycznego i sekretarzy KC PZPR z zespołem redakcyjnym „Trybuny”. W wielu jej pracowników udekorowano odznaczeniami państwowymi.

Do licznych gratulacji, jakie na okazji jubileuszu napływają na adres jubilata z całego kraju, dołączają wyrazy uznania i najlepsze życzenia — „Przekroć”.

ROZMOWY GOSPODARCZE: POLSKA — NRF. Oficjalna wizyta w Polsce złożył mi-

nister federalny gospodarki Republiki Federalnej Niemiec, dr Hans Friedrichs. W wspólnym komunikacie o przebiegu tej wizyty podkreślono, iż wartość wymiany towarowej pomiędzy NRF potroiła się w ciągu ostatnich trzech lat i że obie strony dążą do starania, aby również w przyszłości stosunki gospodarcze pomiędzy obu krajami nadal się rozwijały. Dotyczy to przede wszystkim dalszego zrównoważenia wzajemnych dostaw.

Wyrażono zgodny pogląd, że dziesięcioletnia umowa w sprawie współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej, na temat której trwają rokowania, znacznie poprawi warunki dla kooperacji.

KRÓTKO

CHWILE GROZY przeżyło rzymskie lotnisko Fiumicino, skąd grupa nieznanych osobników uprowadziła samolot „Lufthansy”, wrzucając wcześniej granat zapalający do stojącego na płycie lotniska „Boeing-707” (Amerykańskie Linie Lotnicze). 20 osób poniosło śmierć, 40 odwieziono do szpitala. Samolot „Lufthansy” wylądował w Atenach. OWP oświadczyła, że porwaczkami nie mogli być bojownicy palestyńscy.

WIĘCEJ MORZA! Na międzynarodowej konwencji prawa morskiego w Nowym Jorku rząd norweski wysunął postulat rozszerzenia ochronnej strefy rybołówstwa z 12 do 30 mil morskich. Władze norweskie twierdzą, że zawarcie wyłączonej połowów w pasie 50 mil morskich jest dla rybaków tego kraju sprawą życia i śmierci.

POLSKI PROJEKT. Zgromadzenie Ogólne NZ uchwaliło polski projekt stwierdzający, iż każdy kraj ma prawo prowadzenia własnej polityki kulturalnej. Zgromadzenie Ogólne uznało potrzebę utrzymania kontaktów i wymiany dóbr kulturalnych na zasadzie równości i całkowitego poszanowania suwerenności praw państw.

ZMIERZCH CUDU? Rok 1973 — pisze tokijski korespondent agencji UPI, Robert Crabbe — może się okazać ostatnim rokiem japońskiego cudu gospodarczego, a mieszkańcy tego kraju przestaną wygrażać się w blaskach największego w historii Japonii boomu... Koszty utrzymania — czytamy w korespondencji — wzrosły w porównaniu z rokiem ubiegłym i nawet optymistyczny zawsze premier Tanaka oświadczył ostatnio, że nie widzi końca wzrostu cen.

PO TRZECH MIESIĄCACH TERRORU. Prasa światowa daje w dalszym ciągu wyraz oburzeniu z powodu przesładowań sił politycznych w Chile. Opublikowano tam pierwszą listę 60 osób przebywających za granicą, którym junta wojskowa odebrała obywatelstwo pod zarzutem „zdrady interesów narodowych”. Na liście tej umieszczono m. in. wdowę po prezydencie Allende i jej dwie córki.

ZMĘCZENI ASTRONAUTY. Zespół naukowców na Przylądku Canaveral jest zaintrygowany odmiennym zachowaniem się oraz reakcjami obecnej załogi statku orbitalnej „Skylab” w porównaniu z poprzednimi dwiema. Astronauci są znacznie mniej wesołi, szybciej się męczą, o wiele mniej mówią i są częściej przygnębieni od swych poprzedników. Naukowcy sądzą, że wynika to po pro-

stu z innej kondycji fizycznej i psychicznej obecnej trójki astronautów.

NAJKRÓCEJ

Utworzona została RADA IRLANDII, w skład której wchodzi po 7 ministrów reprezentujących Ulster i Republikę Irlandzką. RZĄD ALGERII złożył protest w związku z zamachem bombowym w konsulacie generalnym Algierii w Marsylii, który spowodował liczne ofiary. W WATYKANIE opublikowano oświadczenie papieża Pawła VI, wydane z okazji „Dnia pokój”, obchodzonego przez Kościół i organizacje katolickie całego świata w dniu 1 stycznia.

W NRF ceny węgla wzrosły o 7 proc. Włoskie gospodynie domowe narzekały na poważne trudności przy zakupach przedświątecznych; w wielu miastach wystąpiły braki cukru, mleka, soli, a nawet... makaronu. LUDOWA REPUBLIKA BANGLADESZ obchodziła 16 grudnia drugą rocznicę uzyskania niepodległości. SENAT USA wypowiedział się za redukcją wydatków na cele wojskowe o 4 mld dolarów. W BUKARESZCIE odbyło się posiedzenie Komisji Przemysłu Naftowego i Gazowego RWPG. Nicolae Ceausescu złożył gratulacje polskiemu specjalistom za sukcesy odniesione w budowie nowego obiektu huty stali szlachejnej w Rumunii. Gdańskie pieciorazki



na zimowym spacerze (na zdjęciu). W LONDYNIE odbył się pokaz filmu „Hubal” w reprezentacyjnym kinie „Empire”; ponad tysiącsobową widowiska Polonii brytyjskiej, której członkowie, którzy w wielu komatach II wojny światowej, przyjęła film oklaskami. W TURCJI afera: ujawniono, iż rozmowy telefoniczne przewodniczącego Tureckiej Partii Ludowo-Republikańskiej były przez dłuższy czas podsłuchiwane przez turecki wywiad MIT. W LONDYNIE Izba Lordów odrzuciła laburzystowski projekt ustawy o zaniechaniu kary chłosty w brytyjskich szkołach. W WENESUELI, w wyborach prezydenckich odniósł zwycięstwo kandydat Partii Akcji Demokratycznej Andres Perez. Odkryte w ub. miesiącu na TAJWANIE najstarsze drzewo świata (ok. 5200 lat, 50 m wys. i 9 m średnicy) zostało częściowo spalane. O MUZEUM PICASSA na Lazurowym Wybrzeżu, w Antibes, skradziono dzieła artysty o łącznej wartości 4 mln franków.

KATASTROFY

Szalejące w rejonach wybrzeża Bangladesz cyklon spowodował śmierć 68 osób, 200 rybaków, którzy znajdowali się na morzu, zaginęło. Na lotniskowcu USA „Kitty Hawk” wybuchł pożar, 6 członków załogi zginęło, 38 doznało obrażeń. W wyniku eksplozji w hotelu robotniczym w Tachowie (zachodnie Czechy) zginęło 23 osób. W JAPONII szerzy się epidemia grypy spowodowanej przez wirus typu „B-73”, powodujący większą niż zwykle ilość zgonów. Wielki pożar wybuchł w przemysłowej dzielnicy Buenos Aires. Nad fabryką lodowców słup ognia sięgał 600 m. Gwałtowna powódź nawiedziła cztery prowincje w południowej części Syjamu, kilka miast znalazło się pod wodą.

ZMARLI

Henryk Józef Bagiński, pik dypl. w stanie spoczynku, współtwórca tajnego skautingu, uczestnik dwu wojen światowych, historyk, b. wykładowca Wyższej Szkoły Szlaku Generalnego, autor wielu opracowań poświęconych WP. Zyt 84 lata.

**Pozdrowienia
i życzenia
świąteczne
OD TYCH, CO NA MORZU**

Na 166 statków Polskich Linii Oceanicznych — jednego z największych światowych armatorów liniowych, ponad 2/3 znajdzie się w wigilijny wieczór na morzach i oceanach świata, w zagranicznych portach różnych kontynentów. Tylko nieliczna część załogi PLO przebywać będzie w kraju, a z tej liczby część marynarzy spędzi ten wieczór na pełnieniu służb i wacht na jednostkach zacumowanych w Gdyni, Gdańsku, Szczecinie i Świnoujściu, lub w stoczniach remontowych.

Inny będzie ten wieczór wigilijny pod różną szerokością i długością geograficzną, ale najważniejsza to świadomość, że jesteśmy wszyscy w kraju w tych chwilach razem z nimi, życząc naszym pracownikom morza zdrowia, pomyślności, pogody, miłego nastroju i wszystkiego dobrego w Nowym Roku 1974.

Poniżej depesze od niektórych załóg statków spośród 166 jednostek PLO, które za naszym pośrednictwem przesyłały pozdrowienia i życzenia dla swoich najbliższych oraz Czytelników P.

**Z FLAGOWEGO STATKU
TS/S STEFAN BATORY**

Kochany Przekroju stop Tu Londyn — mówi Stefan Batory, wiozący polskich pasażerów na wycieczkę Gdynia—Kopenhaga—Amsterdam—Londyn—Gdynia stop Drugi dzień pobytu w stolicy dumnego Albionu dobiega końca stop Pełni wrażeń z wycieczek autokarowych po Londynie, pasażerowie o siedemnastej zamuszują na Stefana stop O godzinie osiemnastej statek podniesie kotwicę i skieruje się w dół Tamizy udając się z powrotem do Gdyni stop O dwudziestą czeka wszystkich wspaniała kolacja wigilijna i moc niespodzianek świątecznych, ale już na morzu stop Do Gdyni wejdziesz o godzinie dwunastej 27 grudnia. Wesolych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku życzą kapitan TS/S Stefan Batory (—) Stanisław Petruszewicz i załoga transatlantyku.

Z PROMU M/F GRYF

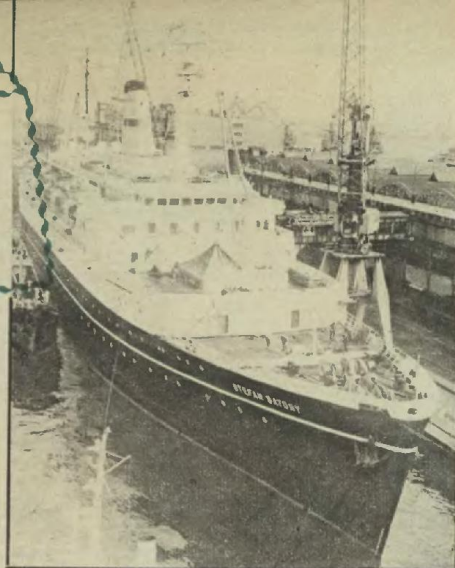
Redaktor naczelny „Przekroju” Kraków stop Prom „Gryf” dwudziestego czwartego grudnia będzie na Bałtyku w drodze do Helsinek stop Organizujemy załozde i pasażerom tradycyjny wieczór wigilijny stop W tym czasie będziemy myśleć z naszymi rodzinami, które także czytają zawsze interesujący „Przekrój” stop Pozdrawiamy, życzymy miłych Świąt, wszelkiej pomyślności w Nowym 1974 Roku — kapitan Zbigniew Wacowski.

Z POKŁADU M/S RABKA-ZDRÓJ

Do redakcji „Przekroju” — Za waszym pośrednictwem pozdrawiamy rodziny, mieszkańców Rabki-Zdroju, pracowników przedsiębiorstwa „Uzdrowisko-Rabka” — naszego patrona stop Na Bałtyku pogoda sztormowa stop Mamy nadzieję, że w wigilię pod wieczór będzie spokojniej i kolację zjemy bez zakłóceń stop Kapitan Orchowski.

**Z MORZA ŚRÓDZIEMNEGO
OD ZAŁOGI STATKU RADZIONKÓW**

Redaktor naczelny tygodnika „Przekrój” Mieczysław Czuma — Kraków stop Tu statek PLO „Radzionków” stop Jesteśmy we wschodnim basenie Morza Śródziemnego w drodze z Aleksandrii do Bejrutu stop Wigilia wypadnie nam w morzu, będzie to po raz pierwszy na



tym statku, bowiem to nowa jednostka floty liniowej, zatrudniona od stycznia tego roku na szlaku śródziemnomorskim stop

Ładunek sprzętu zmechanizowanego dla grupy Wojska Polskiego, wchodzącej w skład Doświadczalnych Sił Zbrojnych ONZ, szczęśliwie przekazaliśmy chłopcom Pomorskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej z Krakowa stop Macie pozdrowienia od płk. Jarosza, oficerów i spadochroniarzy, wszystkich polskich żołnierzy na Bliskim Wschodzie. Przekazcie to ich rodzinom stop

Po sztormach na Biskajach płyniemy obecnie w pięknej spokojnej aurze ale tak naprawdę to brakuje nam śniegu, polskiej jody i tego niepowtarzalnego nastroju w domowym zaciszu serdeczności najbliższych stop Do zobaczenia w styczniu — Wasz Adam Szkarłat — kapitan „Radzionkowa” i załoga stop

Załączamy serdeczne pozdrowienia i życzenia miłych świąt, wszelkiej pomyślności w Nowym 1974 Roku braci górniczej kopalni „Radzionków” i matce chrzestnej statku p. Emilii Bacia z Radzionkowa stop Najserdeczniej pozdrawiamy wojewodę Jerzego Ziętka — honorowego górnika kopalni „Radzionków” i honorowego marynarza statku „Radzionków” Wszystkiego najlepszego z Nowym Rokiem

**TELEGRAFUJE KAPITAN
M/S ALEKSANDER ZAWADZKI**

Port Gdański — Nabrzeże Marchlewskiego — Do „Przekroju” w Krakowie stop Statek Polskich Linii Oceanicznych „Aleksander Zawadzki” tym razem w okresie świąt znajduje się w kraju stop Większość załogi spędzi święta w gronie najbliższych stop Na motorowcu pozostanie jedynie konieczna służba stop Serdecznie Was i Czytelników pozdrawiamy — intendent Stanisław Zych i kapitan Sylwester Wojsa.

TU M/S DOMEYKO

Gdynia Port Większość załogi będzie w domach przy tradycyjnym stole wigilijnym stop Na statku pozostanie niezbędna służba pokładowa i maszynowa stop Ale w pierwszy dzień świąt wychodzimy już w morze, w kolejny rejs do Nowego Jorku stop Prawdopodobnie na Atlantyku czeka nas zimowa sztormowa pogoda stop Wesolych Świąt, szczęśliwego Nowego Roku życzy kapitan Józef Biedka i załoga M/S „Domeyko”.

**OD KAPITANA ROMANA LISZKI
I ZAŁOGI M/S ZUBRZYCKI**

Telegram do „Przekroju” w Krakowie — nadaje — pierwszy polski ekspresowy semikontenerowiec „Franciszek Zubrzycki” w drugiej podróży na północnym Atlantyku w drodze do Nowego Jorku. Wyjątkowo piękna i słoneczna pogoda, spokojnie stop Na święta będzie prawdziwa choinka, którą wieźliśmy w chłodzonej ładowni stop Wszyscy zdrowi — brakuje

Wszystkim Czytelnikom
i Współpracownikom
pogodnych
i radosnych Świąt
a także
przyjemnego wypoczynku
życzy

**PRZE
KRÓJ**

P. 1499

**ZA TYDZIEŃ: NUMER
NOWOROCZNY na czas!**

Na każdej stronie znajdziecie w nim ZEGAREK, a na dwu — niemal wszystko, czego chcielibyście się dowiedzieć o zegarkach, dawnych i najnowszych, włącznie z opisem zegarka kosmonautów. Elementy upływającego CZASU, który uświadamiamy sobie zwłaszcza w momencie, gdy zmienia się data roku, przewinie się przez wiele stron tego numeru:

● podsumowanie WYDARZEŃ 1973,

● minisondaż, w którym 23 osoby mówią O SUKCESACH naszego kraju i osobistych w minionym roku,

● DLACZEGO I STYCZNIA zaczyna się rok nowy — wyjaśnia Aleksander Krawczuk,

● Wojciech Kubiński w korespondencji z Leningradu m. in. O CODZIENNYM STRZALE z armaty,

● noworoczny wywiad Lucyny Winnickiej z mężem Jerzym Kawalerowiczem,

● co to jest KOMETA, a Kometka w szczególności (niebawem będziemy ją widzieć),

● na ostatniej stronie — KALENDARZ 1974 z rysunkiem Antoniego Uniechowskiego.

**Prosimy o
JEDNO ZDANIE Z WAKACJI**

(zimowych)

Przysyłaliście do nas w lecie pocztówkę z wakacji, pisząc w jednym zdaniu (czasem dłuższym) o swoich wrażeniach, przeżyciach, spostrzeżeniach, o tym co Wam się podobało lub nie.

Wakacje zimowe też mają wiele uroku, a zdaniem lekarzy zapewniają doskonały wypocinek i regenerują siły lepiej niż wakacje letnie. Wznawiamy więc tę rubrykę. Prosimy o pocztówki z wakacji zimowych!

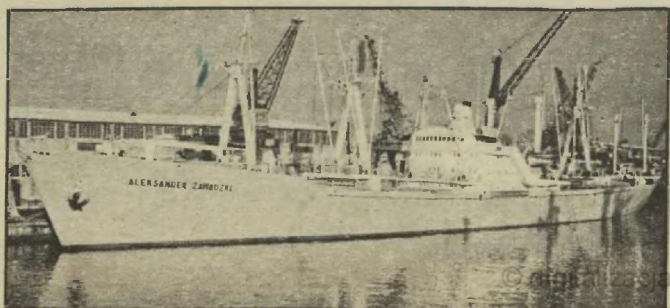
Autorom korespondencji zamieszczonych w P. wyślemy książki.

nam tylko najbliższych stop Wieczorem będziemy o nich myśleli stop Przesyłamy serdeczne życzenia miłych, zdrowych, wesolych świąt i wszelkiej pomyślności z Nowym Rokiem dla naszych rodzin, kolegów marynarzy na lądzie, Czytelników „Przekroju” — kapitan Roman Liszko i załoga

M/S ŚWIECIE

ŚWIĘTA W TEMPERATURZE +47°C

„Przekrój” Kraków — tu M/S „Świecie” stop 24 grudnia będziemy w Abu Dhabi w porcie United Arab Emirates w Zatoce Perskiej — temperatura 47 stopni Celsjusza — dookoła piach, bezchmurne, rozżarzone niebo, ciężko oddychamy stop Chłopcy zrobili drucianą choinkę, ta z Polski momentalnie się rozspalała stop Na wigilijny wieczór przygotowujemy świąteczną, tradycyjną polską kuchnię stop Jesteśmy myślni z naszymi rodzinami i z wami stop Przyslijcie trochę śniegu — Wasz kapitan Tomasz Terlecki oraz intendent Witold Szablowski plus załoga razem czterdziestu czterech marynarzy was pozdrawia i wszelkiej pomyślności w Nowym 1974 Roku życzy stop



„PRAWEM NAJWYŻSZYM — dla nas i dla nich na całym świecie”

Inicjatywa zwołania w Polsce latem 1973 roku spotkania pracowników nauki — Polaków oraz ludzi polskiego pochodzenia — pracujących w różnych krajach świata, powstała w kręgu działaczy Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”. Obowiązki bezpośredniego gospodarza spotkania sprawował rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. dr Mieczysław Karaś. O programie i przebiegu spotkania informowaliśmy szczegółowo naszych Czytelników w P. 1473. Autor artykułu jest socjologiem, docentem UJ. Dziś wracamy do tego tematu

Spotkanie krakowskie miało umożliwić naukowcom polonijnym kontakt z polską nauką i Polską współczesną w ogóle, kontakt na tyle szeroki, aby zainteresował także środowiska, których droga do „starego kraju” była z różnych powodów dłuższa. Czy cel ten został osiągnięty? Leży przede mną ponad 350 listów od osób zaproszonych na spotkanie. Wysłano je w 24 krajach Europy, obu Ameryk, Australii i Afryki jeszcze przed spotkaniem oraz bezpośrednio po spotkaniu. Szczególny to dokument polskich losów.

Ponad dwie trzecie ogółu autorów listów urodziło się w Polsce, ale tylko jedna trzecia ukończyła tu studia. Pracują obecnie w najbardziej znanych uniwersytetach i politechnikach świata, instytutach badawczych, międzynarodowych organizacjach i fundacjach, administracji państwowej swych nowych ojczyzn.

Część spośród nich nigdy w Polsce nie była.

Posługują się z reguły piękną literacką polszczyzną. W niektórych listach słychać także wyraźnie echa dawnych chłopskich dialektów Mazowsza czy Podhala. Są i listy pisane w językach obcych. Ale i w nich zachowały się wyraźne ślady wspólnej narodowej tradycji. Pozwólmym jednak przemówić listom.

Przeważający nastrój listów dobrze wyraża wypowiedź byłego żołnierza II wojny światowej, obecnie pracownika naukowego jednej z londyńskich uczelni. Mówił on: „Sam fakt krakowskiego spotkania wydaje się być rzeczą niezwykle pożyteczną. Możemy bowiem trochę posprzeczć się w domu matki. Zgodzić się w jednym — nie zgodzić w drugim. Tak, jak to w rodzinie często bywa.”

Zaproszenie na spotkanie autorzy listów uznali za zaszczyt osobisty. Trafiło ono do nich w momencie, gdy potrzeba nawiązania i utrzymania kontaktów z krajem stała się oczywista, zarówno ze względu na sytuację Polonii jak i otwartą politykę kraju wobec Polonii.

Wśród motywów przybycia do Polski najczęściej wymieniana jest poczucie wspólnoty narodowej. Ten ton wyraźnie brzmi w wypowiedzi Waltera Drzewienieckiego (historyka z Buffalo, USA), który stwierdził m. in.: Jestem głęboko wzruszony, że na zew krwi, na zew polskiego pochodzenia zbiegliśmy się tutaj z całego świata, od Australii do Stanów Zjednoczonych i Kanady, od południowej Afryki do północnej Szkocji, aby zademonstrować jedność i niepodzielność polskiej kultury.

Wysoko ocenili autorzy listów program spotkania, jego przebieg oraz atmosferę rozmów i imprez towarzyszących. Maria Szurek-Wisti (polonistka z Paryża) napisała:

Ciekawe, pouczające i owocne były po-

siedzenia robocze, niezwykle urozmaicone i bogate w przeżycia spotkania z naukowcami żyjącymi za granicą oraz uczonymi z kraju.

Gabriela Makowiecka (filozof z Madrytu) rozwija ten wątek stwierdzając: Serdecznego i wspaniałego przyjęcia na Wawelu nikt z nas nie zapomni, ani Pieskowej Skały, ani „Wesela”. Nawet ta burza, która nieprogramowo rozszalała się, kiedy byliśmy na środku Dunajca, była tylko jednym więcej, silnym akordem w tej cudownej podróży niespodzianek i przyjaźni.

Leopold Liss (neuropatolog z Columbus, USA) uznał tydzień spędzony w Krakowie za „kwintesencję polskości” i dodał: Nie mam wątpliwości, że ten tydzień przyczyni się do wzmocnienia więzi z krajem nie tylko wśród uczestników spotkania, ale i tych, którzy się od nich dowiedzieli i dowiedzą o spotkaniu.

Dla wielu uczestników spotkanie było po prostu powrotem do domu, jak to określiła Halina Nelken (historyk sztuki z Cambridge, USA). Dla wszystkich zaś potwierdzeniem starej prawdy, iż wielkość i spuścizna kulturalna narodu polskiego są wspólnym dziedzictwem wszystkich Polaków, niezależnie od wiary, partii czy klasy pochodzenia — jak pisał Aleksander Blum, historyk literatury polskiej i rosyjskiej z Londynu, dziedzictwo to może i winno być rozwijane przez pracowników nauki, Polaków lub polskiego pochodzenia, rozsiadanych po całym świecie. Bo Polska dla wszystkich Polaków jest otwarta szeroko, byle chcieli i służyli ojczyźnie.

Zbyt krótki czas dzieli nas od spotkania, aby już dziś mówić o jego trwałych efektach. A jednak... Lektura listów upoważnia do pewnych wniosków ogólnych.

EFEKT PIERWSZY to wzmocnienie więzi polonijnych środowisk naukowych z krajem. Dla wielu uczestników — pisze Antoni Szantyr (filolog klasyczny z NRF) — którzy po 30 latach i więcej znaleźli się na ojczyźnie, pozostały te dni w pamięci na pewno jak złoty sen. Wzmocniły one w naszych sercach uczucia, które odziedziczyliśmy, a które nieraz już wylały i rozbudziły wiele, wiele uczuć nowych.

Pani Ruth Johnston (ekonomistka z zachodniej Australii) mówi na ten temat: Po tylu latach na obczyźnie wiem teraz dobrze, gdzie moje serce leży i wam mam to wszystko do zawdzięczenia. Nie umiem powiedzieć, co naprawdę czuję, ale dziękuję sto i tysiąc razy za zaproszenie, które mnie wróciło do ojczyzny.

Podobny ton dźwięczy również w liście p. Richarda Casimira Lewańskiego (historyka z Bolonii), który pisze: Powiedzieliście nam, że Polska chce, abyśmy pozostali wartościowymi obywatelami krajów, któ-

przyjaźnie, sympatie, wspomnienia przeżyć dobrych i złych.

Zwykle koło godziny 19 skupia nas wigilijna uroczystość rodzinna. Może będziecie chcieli wiedzieć, gdzie jaki czas jest w tym momencie w różnych miejscach kuli ziemskiej.

Gdzie, która godzina

Około 10 milionów Polaków lub ludzi polskiego pochodzenia rozproszonych jest po całym świecie. W wieczór wigilijny czy wieczór noworoczny wybiegamy do nich myślą, podobnie jak i oni do nas. Łączą nas przecież więzy rodzinne,

GUIDO DI PIETRO ZWANY IL BEATO czyli FRA ANGELICO (1 3 8 7 — 1 4 5 5)

ŚWĄTNE
OBRAZY

Ktokolwiek błądzić będzie uliczkami włoskiego miasteczka Orvieto, musi dojść na plac, gdzie wznosi się budowla „z powietrza i kamienia” — gotycka katedra budowana przez z górą 120 lat według planów najznakomitszych architektów średniowiecza.

W jednej z kaplic katedry pod wezwaniem Della Madonna di San Brizio znajdują się wspaniałe freski pędzla malarza włoskiego renesansu, Luki Signorelliego, przedstawiające sceny z Apokalipsy i Sądu Ostatecznego. Na bocznej ścianie kaplicy artysta namalował dwie postacie — wysokiego młodego człowieka w okrągłym malarskim kapeluszu i zakonnicę w habicie z odrzuconym kapturem, odsłaniającym twarz młodą i pełną dobroci. To jeden z najznakomitszych artystów w dziejach włoskiej sztuki, żyjący na przełomie średniowiecza i renesansu — dominikanin, brat Jan z klasztoru w Fiesole — Fra Angelico.

Życie tego twórcy w zakonnym habicie nie

obfitowało we wloty i upadki, darmo by szukać w tej biografii niezwykłych wydarzeń. Jako młody chłopak Guido di Pietro wstąpił do klasztoru w Fiesole i rychło zasłynął w zakonnym zgromadzeniu jako pobożny brat i zdolny malarz. A że z największym zamiłowaniem malował szumiające od anielskich skrzydeł sceny z raju i życia Marii, zyskał sobie przydomek „Brata anielskiego” — Fra Angelico. Jego obrazy odznaczają się pogodnym nastrojem kontemplacji i jakiejś prostej ludowej pobożności. Fra Angelico nie żałował swym dziełom złota, purpury i lazuruwogo błękitu.

Ulubionym tematem jego obrazów było zwiastowanie i śpiewający czy grający aniołowie w pięknych bogatych szatach.

Muzykujący anioł, którego reprodukcję zamieszczamy powyżej zdobył jedno ze skrzydeł ołtarza w Linaiuoli. Obecnie oglądać go można we Florencji w Muzeum św. Marka.

Gdy w roku 1455 pobożny Fra Angelico zmarł w klasztorze San Marco we Florencji, kościół katolicki zaliczył go w poczet błogosławionych. (Wer)

WARTO
WIEDZIEĆ



rych obywatelstwo nabyliśmy, a tu może właśnie osiągnęliśmy efekt odwrotny — tęsknotę wzmożoną za Polską i nawrót do wspomnień, które stały się znowu rzeczywistością.

Nie mogę się także powstrzymać przed zacytowaniem listu p. Isabeli Ługowskiej (chemiczka z Karle, USA), która nigdy przedtem Polski nie widziała. Z trudem, ale jednak po polsku, pisze ona: Na tej wielkiej okazji poznałam na pierwszy raz kraj moich rodziców i uczonych Polaków z Polski i z całego świata. Odjeżdżałam ze wzruszeniem.

EFEKT DRUGI to utrwalenie dumy z polskiego pochodzenia, potwierdzonej materialnymi i kulturalnymi osiągnięciami przedmowej Polski. Tak przeżył spotkanie m. in. Eugeniusz Kusielewicz, prezes Fundacji Kościuszkowskiej (Nowy Jork, USA). Dla niego spotkanie stanowiło okazję do oceny wkładu, jaki wniósł naród polski do rozwoju kultury i nauki świata.

Podobnemu przekonaniu dał wyraz Walter Drzewieniecki pisząc: Wyjechaliśmy z Krakowa wszyscy z uczuciem dumy z osiągnięć narodu polskiego oraz poczuciem jedności kulturowej wszystkich Polaków.

EFEKT TRZECI to pobudzenie naukowców — Polaków i polskiego pochodzenia — pracujących za granicą do działań na rzecz dobrego imienia Polski i Polaków oraz zwalczania propagandy antypolskiej. Głos naukowców polonijnych rozbrzmiewa dziś w wielu uczelniach świata, szerząc wiedzę o kraju pochodzenia, jego przeszłości i teraźniejszości. Jest to głos donośny. Czy może i powinien być jeszcze silniejszy?

Wielu uczestników spotkania uważało, że tak. Należał do nich m. in. Jean Mysiński (historyk z Lille), który twierdził, iż obowiązkiem profesorów polskiego pochodzenia jest (...) zmniejszyć może trochę ilość czasu i energii poświęconej pracy twórczej i przelać je na to, co możemy zrobić dla powiększenia w krajach, w których mieszkamy, prawdziwej znajomości Polski. Wyrazicielem tej powinności był również Walter Drzewieniecki, gdy w dniu otwarcia spotkania mówił: „Pragnę wszystkich tu obecnych zapewnić, że białoczerwony sztandar nieść będziemy wysoko, gdziekolwiek znajdziemy się, na jakimkolwiek polu pracujemy i pracować będziemy.”

EFEKT CZWARTY to nawiązanie nowych kontaktów zawodowych oraz odświeżenie starych. Kontakty te będą dobrze służyć rozwojowi międzynarodowej współpracy, w tym szczególnie naukowej, oraz dziełu wzajemnego zrozumienia się różnych narodów. Jerzy Glass (medycyna wewnętrzna; Nowy Jork) pisze o tej funkcji spotkania: Bardzo pięknie przeżyłem, które pozwoliło nawiązać wiele wartościowych kontaktów na przyszłą naszą współpracę. Stanisław Zaremba (matematyk z Madi-

son, USA) liczy w szczególności na to, że uda mu się wzmocnić współpracę z matematykami w kraju. Liczni uczestnicy spotkania uważali, podobnie jak np. Richard Kolm (socjolog z Waszyngtonu), łączność naukowców polskiego pochodzenia, pracujących w krajach o odmiennych kulturach i systemach społeczno-politycznych, za ważne ogniwo integracji świata w ogóle, czy most porozumienia pomiędzy Polską i krajami, w których znajdują się podstawowe skupiska polonijne.

Ze względu na szeroką geograficzną reprezentację uczestników oraz wielość uprawianych przez nich dyscyplin szczegółowych (nauki historyczno-społeczne — 42,6% ogółu, a nauki ścisłe, przyrodnicze i techniczne — 57,4%), spotkanie stanowiło ważki bodziec intelektualny, skłaniający do podjęcia nowych problemów naukowych i sprawdzenia dotychczasowych metod badawczych.

EFEKT PIĄTY. Krakowskie lipcowe dyskusje, te w auli Collegium Novum i te bardzo osobiste nocne rodaków rozmowy, stworzyły okazję do porównawczej refleksji nad sytuacją Polonii w różnych krajach osiedlenia. Uświadomiły one także pilną konieczność wspólnych badań nad przeszłością i teraźniejszością Polonii. Wiele pomników polskiej kultury na obczyźnie, wiele instytucji wytworzonych przez skupiska emigracyjne niestety ginie. I ten wątek został silnie rozbudowany w listach, jakie napłynęły i napływają do gospodarzy spotkania.

Spotkanie w Krakowie nie podejmowało rezolucji, nie ogłaszało apeli, nie tworzyło fundacji. Pozostawiło jednak po sobie ślad materialny w postaci aktu erekcyjnego Kolegium Polonijnego im. Kazimierza Pułaskiego.

Wzniesie je i będzie prowadził Uniwersytet Jagielloński. Kolegium to w najbliższych dwu latach ma stać się gościnnym domem dla wszystkich zaangażowanych w badania polonijne Polaków i cudzoziemców. Tworząc polonijne archiwum i oficynę wydawniczą, ma ono ocalić przed zniszczeniem i zapomnieniem ślady wielkich wędrowców Polaków: ekonomicznych i politycznych. Już w tej chwili pocztą codzienną przynosi bezcenne dokumenty do tej kolekcji.

Są wśród 350 listów dwa listy odmienne w nastroju. Widać w nich ślad krzywd — zapewne i subiektywnych i obiektywnych — niezatartych przez czas. Nieproste były przecież drogi Polaków. Może także dlatego potrzebne są spotkania podobne w nastroju do krakowskiego? Aby w swobodnej i szczerej wymianie poglądów szukać tego, co łączy a nie dzieli. Zgodzić się w jednym — nie zgodzić się w drugim, jak to w rodzinie bywa. Jednak zawsze zgodnie z zasadą: *Salus Rei Publicae suprema lex esto* — dobro Rzeczypospolitej prawem najwyższym.



proza

Endre Vész: DŁUGI PRZEDPOKÓJ. *Lajosa Golda obudził — właściwie to nawet nie obudził, ponieważ oczekiwanie i tak zmuszało go do czytania — słaby blask, który wypelnił długi korytarz i przenikał do pokoju przez prostokąt szklany w drzwiach dawnej służbówki. To trochę przydługie pierwsze zdanie powieści wprowadza nas w atmosferę wspólnego mieszkanka, które przy-padkowo połączyło bohaterów tej powieści (psychologicznej). Współczesna. Przekład z węgierskiego Alieji Mazurkiewicz. (Czytelnik, 6 tys., s. 189, cena 11)*

Julian Slesmonow: BOMBA DLA PRZEWODNICZĄCEGO. *Z wartką sensacyjną akcją powieści radzieckiego pisarza, Berlin Zachodni i NRF sprzed 20 lat. Także retrospekcja w czasie wojny. Kultury wielkiego przemysłu; działalność hitlerowców; afera kryminalna; radziecki as wywiadu rozszyfruje tajemnicę. (Książka i Wiedza, 40 tys., s. 276, cena 22)*

Czesław Ostankiewicz: PORAZENI NIE CHCA UMIERAĆ. *Wybór opowiadań (50) autora kilkunastu książek, w których dominuje tematyka czasu wojny, lat konspiracji, przeżyć obozowych, emigracji na Zachodzie. (Ossolineum, 10 tys., s. 276, cena 22)*

Zygmunt Wójcik: ZABIJANIE KONI. *Trzeci tom prozy młodego pisarza (wydł też dwa tomy wierszy). Mikropowieść i 6 opowiadań. Rozważa psychologiczne konsekwencje jednego z wielkich zjawisk naszej polskiej współczesności: oderwanie się znacznej części chłopów od ziemi i ich miejski awans. Trudna, refleksyjna, ale wartościowa proza. (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 5 tys., s. 198, cena 12)*

wspomnienia

Zygmunt Ziłek: OD OKOPÓW DO BARYKAD (1939-1944). *Tytuł i daty określają czas i temat wspomnień. Autor napisał obszerną relację o dywersji propagandowej wśród Niemców (Akcja N) i także w tej książce sporo uwagi poświęca działalności kulturalnej i propagandowej podziemia akowskiego, działalności środków informacji, łączności i przekazu w czasie Powstania Warszawskiego. Duzo interesujących, a mało znanych szczegółów. (Czytelnik, 8 tys., s. 536, cena 40)*

medycyna

Jürgen Thorwald: PACEJENCI. *Autorem znany czytelnikom polskim także z obszernie, popularnej monografii na temat kryminalistyki (fragmenty były w P. 1256 i nast.). Uprawia literaturę taktu i cenione były jego opracowania o II wojnie światowej. Te książki poświęcił postępowi nowoczesnej medycyny, zwłaszcza chirurgii, opisując losy ludzi, którym stosowano sztuczne nerki, którym przeprowadzono pierwsze operacje serca, dokonywano przeszczepów, wszczepiano protezy. Bohaterami tej książki są ludzie. Walka toczy się o ich istnienie.*

Pasjonująca lektura. Przekład M. Oziembowski. (Wyd. PAX, 30 tys., s. 616, cena 70)

historia

István Ráth-Végh: HISTORIA LUDZKIEGO SZALEŃSTWA. *Autorem węgierski historyk (1870-1959) — łączny głęboka wiedza z umiejętnością jej przekazywania. W tej książce miał zadanie o tyle ułatwione, że krąży wokół historycznych niesamowitości: okultyzm, poszukiwanie wiecznej młodości, polowania na czarownice, zabobony, czarodziejskie różdżki, itd. Skomentowany almanach historycznych anegdot o ludzkim szaleństwie i głupocie. Przekład R. Bankowicz. (Iskry, 10 tys., s. 316, cena 18)*

Marceli Kosman: NA TROPACH BOHATERÓW TRYLOGII. *Czytelnicy P. sprzed paru lat pamiętają może eseje historyczne o postaciach Sienkiewiczowskiej Trylogii. Autor tych esejów i autor wznowionej właśnie książki skonfrontował historyczne pierwotne z bohaterami powieści. Niejako na nowo odczytuje się tu Trylogię, z licznymi zdjęciami z filmów Potop i Pan Wołodyjowski w serii popularnonaukowej biblioteczki „Światowid”. (Książka i Wiedza, 50 tys., s. 391, cena 22)*

satyra

Ryszard M. Gronski: TAK SWOJO ML. *W „Bibliotece Stańczyka”. Z wyjątkiem kilku tekstów proza — wiersze satyryczne, przeważnie refleksyjne, ironiczne. W opracowaniu graficznym Czeczota; na okładce pastuszek z elektryczną gitarą. (Iskry, 3 tys., s. 103, cena 20)*

Witold Zechenter: GRYMASY Z KOMENTARZEM. *Autorem zebrał w tym tomie swoje stare przedwojenne parodie, wiersze satyryczne i fraszki, łącząc je komentarzem i stwarzając jakby pamiętnik literacki z lat 1925-1939. (Wyd. Literackie, 10 tys., s. 231, cena 22)*

przewodnikowe

Irena Turska: PRZEWODNIK BALETOWY. *Nie jest to encyklopedia choreografii, ale ujęty w 130 hasłach własnie przewodnik po baletach. 130 hasł to tytuł żelaznego repertuaru baletowego, najwybitniejsze dzieła wojenne i prawie wszystkie balety polskie. W hasie: metryka baletu, streszczenie libretta, dzieje sceniczne przedstawień. Autorka od lat zajmuje się sztuką baletową i publikowała wiele prac na ten temat. (PWM, 17 tys., s. 411, zdjęcia, cena 30)*

archeologia

Pod tym hasłem dla popularyzacji tej nauki — Wyd. Artystyczne i Filmowe publikuje nową serię popularnych opracowań w kieszonkowym formacie. Zapowiedziano prof. Kazimierza Michalowskiego „Od Egiptu do Fara”. A oto tomik pierwszy:

Witold Hensel: ARCHEOLOGIA ŻYWA. *Oto jak autor, profesor, wybitny archeolog, określa cel, który sobie postawił w tej książce: przedstawić w wielkim wyborze i skrócie dzieje archeologii, odkryć archeologicznych i stosowanych metod, sukcesów i potknięć. Pragnie ukazać, jak z dziedziny zajmującej się ciekawostkami przeszłości, jak łopsemu rozumieniu współczesności, radziec rozciąganiu nauk pracujących dla przyszłości. (15 tys., s. 285, cena 30)*

Kiedy u nas jest GODZINA 19 to:

- 20 w Ankarze, Atenach, Bejrucie, Bukareszcie, Damaszku, Helsinkach, Kairze, Sofii
- 21 w Moskwie i Leningradzie
- 22 w Baku
- 23 w Karaczi
- 1 w nocy w Nowosybirsku

- 2 w nocy w Szanghaju
- 3 nad ranem w Tokio
- 4 nad ranem we Władywostoku, Sydney, na Nowej Gwincei
- 7 rano na Samoa
- 9 rano w Honolulu
- 18 w Brukseli, Hadze, Luksemburgu, Paryżu, Londynie

- nie, Madrycie, Lizbonie, Algierze
- 17 w Dakarze
- 16 na Azorach
- 15 w Rio de Janeiro
- 14 w Buenos Aires
- 13 w Nowym Jorku
- 12 w Chicago
- 10 w San Francisco
- 9 na Alasce



Tak jak na tej starej pocztówce
zwykle wyobrażamy sobie raj



A tak wygląda w rzeczywistości
umiejscowienie raju przez Arabów

POD drzewkiem Adama bosi Kainek z sentymentalnie patrzącym Ablem — dłubią w nosach. Drzewo jest rachityczne, ma może z 15 lat, ale jego pień okala nadgryziony przez czas mur z bramką. Obok na tablicy wypisano: *Na tym świętym miejscu, gdzie Tygrys spotyka się z Eufratem wyrosło to święte drzewo naszego ojca Adama, symbolizujące ogród Edenu na ziemi... Drzewo jest samotne, dopiero na drugim brzegu Tygrysu... rządy kosmatych palm.*

Tak tedy dotarłem do miejscowości Al Qurnah tylko po to, aby zobaczyć to drzewko. Ubrany po europejsku okularnik odpędza dzieci i uprzejmie zapytuje mnie o zdrowie oraz moją ojczyznę. *Polonia-Mishraq* — kojarzy bezbłędnie i zaraz dodaje: *starka*. To trzecie, po ropie naftowej i daktylach, bogactwo tego kraju jest dobywane w zbudowanej przez Polaków kopalni w Mishraq.

— Inżynier? — wbija we mnie palec. Polak jest dla Irakijczyków niemal synonimem inżyniera. W Iraku zawsze automatycznie wpisywano przy moim nazwisku tytuł: *mohandys*.

— Przecież to miała być jabłoń, w raju była jabłoń — tłumaczy okularnikowi, który jest nauczycielem w miejscowej szkole.

— A to jest akacjowiec. Co piętnaście lat sadzimy nowe drzewko, bo stare umiera. Ale tu jest stary pień, niech pan popatrzy, to właśnie z rajskiego drzewa...

W Al Qurnah jest jeszcze Resthouse, luksusowy dom wycieczkowy, nowoczesny, wewnątrz efektowna jadalnia z kominkiem, urządzona na modłę arabską; każdy pokój z łazienką. Z tarasu widok na kładzie się rzeki. Oto wszystkie cuda Edenu są u moich stóp. Mimo zapadającego zmroku jest gorąco i tną wściekle komary. Na ziemi pełno uschniętych, kolczastych gałązek akacji. Czy Adam i Ewa w takich warunkach daliby początek ludzkości?!!!

NASTĘPNEGO DNIA RANO, na tarasie, słyszę wyraźnie polski język. Jeszcze nie zdążyłem się zastanowić, czy aby nie przeżywam w raju halucynacji, a tu zmierzam pod moją akację dwóch dżentelmenów z aparatami fotograficznymi. Przedstawiają się: Kozłowski i Niewiński. Pochodzą z Gdańska i pracują na uniwersytecie w Basrze.

Pierwszy jest magistrem WF, drugi elektronikiem. Opowiadają o wielkiej przemianie obywatelskiej Iraku i Basry. Studentki chodzą po Basrze w minispódniczkach, żadne tam abaje i zastanianie twarzy! Biorą udział w obowiązkowych zajęciach wychowania fizycznego! Powrót do statusu ubraniowego Adama i Ewy zawsze napotykał wśród ludzi na pewne opory, ale tutaj — na bardzo ortodoksyjnym wschodzie świata arabskiego — wyobrażenie kobiety w szortach jest czymś, co szokuje, oburza i zasługuje na potępienie.

Studentki Basry. Jest ich cała grupa. Jadą na wycieczkę, aby zobaczyć życie Marszów, ludzi, którzy żyją na błotnistych rozlewiskach Tygrysu i Eufratu,

w domkach z trzcin, często na słupach, wbitych w płytkie dno rozlewiska. Popularnie mówi się o nich: *Arabowie błotni*. Osobliwością jest ich miasteczko Czibaiszi, położone na wschód od Al Qurnah — na kilkudziesięciu wyspach. Ale uczeni z Basry wybierają się gdzie indziej i decydują się zabrać z nimi. Ponieważ wody wyschły, wożono nas po jednym wąskim kanale między trzcinami, gdzie widzieliśmy jedną dziką kaczkę i dwa rajskie (aż tutaj?)! węże.

Pod trzcinowym, półokrągłym dachem chłapy — wydano dla nas uczyć z winogron, melonów i samunów (chlebów placków), na koniec była herbata. W takich chatkach Marszowie palą ogień, a obok radia na tranzystorach i skrzyń ze złociście przybranyymi sukniemi kobiet, trzymają krowy.

MIAŁEM BYĆ O SZÓSTEJ W BASRZE, mieście Sindbada Żeglarza, zwanym także Wenecją Wschodu, ale pod samym rajskim drzewem „złapałem” jedyną na całej prawie 2.000-kilometrowej trasie defekt. W opońkę wbił się zakrzywiony kilkucalowy gwóźdź. Jeżeli okazałoby się jeszcze, że to import z Polski — miałbym pełną pointę.

Na straszny upał, przy 40 stopniach w cieniu, musiałem zmienić koło. Pomagał mi uśmiechnięty recepcjonista, powtarzający, że ich Resthouse zbudowano przed siedmiu laty i że rewolucja doceniła wieś Al Qurnah, gdzie żyli Adam z Ewą... Nie zapomnisz?! — dopytywał się przed ostatnim good bye.

Wieczorem światła Basry odbijają się w wodzie kanałów jak w prawdziwej Wenecji. Pomiedzy wysokimi palmami palą się neony, niżej stoliki na równym jak do golfa trawniku, w kacie telewizor z wielkim ekranem. Klub Uniwersytecki, barani kotłecik na świeżym powietrzu popity coca-cola, spotkanie z doktorem Tadeuszem Agopowiczem. Bo jeśli chcemy wiedzieć jak zaczęła się współpraca uniwersytetów gdańskiego i basrańskiego — musimy zacząć od pana doktora. Na angielskiej wizytówce napisane ma: *naval architect, budowniczy okrętów*. Uczy teraz tej sztuki ziomków Sindbada Żeglarza!

Stworzył w Polsce własne laboratorium i badał naprężenia metali na statkach. W czasie burz morskich i nie burz działają na kadłub różne siły i Agopowicz, uczeń Aleksandra Ryłkego i Maksymiliana Tytusa Hubera — badał naprężenia przynajmniej 50 statków. W 1965 roku napisał pracę doktorską i... zaproponowano mu wykłady w Bagdadzie.

Zanim Polserwis zatwierdził formalności — rok akademicki się zaczął i Agopowicz wyładował w mieście z 1001 nocy spóźniony. Miejsca wykładowców na wydziale mechanicznym uniwersytetu bagdadzkiego były już zajęte, więc zaproponowano mu Basrę. Agopowicz bronił się rękami i nogami, odwoływał do kontraktu, który podpisał na Bagdad, ale w końcu pojechał na południe. Nad brzeg wielkiej rzeki Szatt-el-Arab, rzeki Arabów, powstającej z połączonych Eufratu i Tygrysu.

Najpierw wykładał wytrzymałość materiałów, potem... Był jednym z inicjatorów powołania do życia wydziału okrętowego przy basrańskim uniwersytecie. Gdy w 1969 roku Polserwis chciał go odwołać do kraju — ingerowała ambasada iracka w Polsce. Agopowicz był im potrzebny — od dawna myśleli o tym, żeby budować własne frachtowce, a zwłaszcza tankowce dla swojej ropy naftowej. Nie mieli fachowców. Przypadek — oto Polak trafia do Basry i ich mgliste plany się konkretyzują.

Teraz studenci wyjeżdżają na praktykę do Polski. Pierwsza grupa absolwentów pracuje już we flocie irackiej. Są mechanikami okrętowymi, ale myślą o wielkiej stoczni... Polak z Gdańska — buduje im drogę do naftowego portu w Fa. Może to również droga do stoczni imienia Agopowicza?!

W 1965 ROKU AGOPOWICZ ZAMIESZKAŁ na początku w luksusowym hotelu „Szatt-el-Arab”. Było tam wściekle drogo, ale europejskiemu profesorowi w innym hotelu mieszkać nie wypadało. Chodził gościć się do fryzjera, który zagadnął go kiedys: *Pan Polak? Ja tutaj przed laty gościłem waszego generała. Bardzo ważna osobistość. Nazywał się Sikorski, zatrzymał się w Basrze na parę godzin...*

Była to dla Agopowicza jedyna korzyść z pobytu w reprezentacyjnym hotelu. Wynajęcie pokoju przy rodzinie arabskiej nie wchodziło w rachubę — tutaj, jak w Anglii, rodzina jest kłanem zamkniętym we własnych murach. A poza tym kontaktowanie się na co dzień Europejczyka z Arabką wewnątrz domu jest nie do pomyślenia.

Rano dzwoniła jakaś sygnaturka. Był to znak, że jest tu kościół i katolicy, i że u nich trzeba szukać mieszkania. Poszedł na plebanie. Przyjechał go... piękna i miła żona pastora, anabaptysty. Pastor znalazł pokój w willi, traktowano go jak swego. Gospodyni domu mówiła do doktora *bracie Tadeuszu*, a on do niej *siostrze Edzo*. Liczyli ciągle, że polski uczoney zmieni wiarę...

Zadomowił się w Iraku, nawet przyjechał tu z kraju własnym „garbusem” Volkswagenem, którego jakiś taksówkarz miejscowy mu stukał. Odbyla się rozprawa. Agopowicz przysięgał na Biblię, taksówkarz na Koran. Arab oświadczył że nie ma pieniędzy, żeby płacić. Sąd orzekł: *będziesz siedział*. Agopowicz, człowiek miękkiego serca: *Mnie wcale nie zależy, żeby ten człowiek siedział! Dzięki temu, że pan profesor się rzeka pretenzji — nie będziesz siedział — zawyrokował sąd.*

I pan profesor na koszt własny wykłapał garbusa, ale wcale się do Basry i basrańczyków jakoś nie przylizał. Opracowywał plan uruchomienia żegluga towarowego na Tygrysie i Eufracie. Po rzekach tych bowiem płynęły jeszcze statki i barki z czasów samego Sindbada.

Po sześciu latach wrócił do kraju. W kwietniu 1973 Agopowicz

znów przyjechał do Basry, aby wspólnie z rektorem Stalińskim organizować konferencję w sprawie stoczni i zdolności nawigacyjnych rzek. Nie wiedział zacytował doktor z Polski — że na jesieni znów tutaj powróci. A stało się tak, gdyż jeden z przewidzianych wykładowców zachorował i w ekipie zabrakło okrętowca.

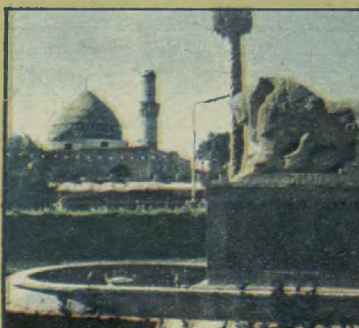
— *Pojedzie pan w zastępstwie* — wskazano na Agopowicza. I mimo, że we wrześniu miał mieć habilitację — wybrał się w znaną drogę swoim garbusem.

Teraz obwoził mnie nim po Wenecji Wschodu, pokazał gaje palm daktylowych i Szatt-el-Arab, zawiódł na wyspę Sindbada Żeglarza, gdzie wedle mieszkańców Basry... był raj naprawdę. A wcale nie w Al Qurnah. Tylko że tutaj drzewa nie widać, ale jest cudownie i tryskają w niebo fontanny pośród ogrodów. Potem odwiedziliśmy cmentarz wojskowy w Basrze gdzie są groby polskich żołnierzy z II wojny światowej, świetnie utrzymane, gazony polowane nieustannie deszczowicami, kwiaty pielęgnowane troskliwą ręką. Naliczyłem 22 nagrobki z polskim orłem, wszyscy zmarli w roku 1942.

Na tym nie kończą się w Basrze polskie ślady. Sympatycznie wspomniani są tu żołnierze polscy z czasów II wojny, mimo że przyszli tutaj z poręki nie lubianych Anglików. Po wojnie, w latach 60-tych, zbudowali tutaj Polacy elektrownię i do niedawna jeszcze Polak był jej dyrektorem... Basra pamięta go, nazywał się Jagliński.

PRODUKUJĄCY ROPĘ NAFTOWĄ naród iracki jest spadkobiercą cywilizacji Sumerów sprzed 7 tysięcy lat. Gdy kilometrami pustynnej drogi jechałem w pyłe i skwarze do Ur — miałem za przewodnika Ahmeda Abasa z Nasiriji. Zalał mi sprawy noclegowe, po czym wybrał się ze mną pod zrekonstruowany Zikkurat i poprowadził do grobów królewskich, gdzie Wooley wykopał złote ozdoby z grobu królowej Szuba'ad i do domu biblijnego Abrahama.

W głębokim otworze ziemi widziałem nakładające się na siebie warstwy sprzed wieków. Namulisko biblijnego potopu, a pod nim znówu drewno i ceramika z czasów przedpotopowych — nawarstwienia sięgające czasów biblijnego raju,



NAUKA PODSŁUCHUJE

A więc siedzimy przy wigilijnym stole, cała rodzina, rozmawiamy o tym i owym, że święta, że tradycja, że kiedyś, kiedyś obyczaj rodzinny nakazywał podanie takiej, a nie innej potrawy, że do stołu zawsze musiała zasiąść równa ilość osób, że jeszcze, gdy żył dziadek, to pod obrus siano się kładło i że coraz mniej zostaje z owego wigilijnego obyczaju i tradycji. I wcześniej czy później ktoś z nas musi sobie przypomnieć, że jest to przecież wieczór, kiedy na gadanie zbiera się i zwierzętom.

Większość z nas nie ma najprawdopodobniej pod ręką stajenki, do której można by wyskoczyć, by pogadać trochę z koniem, czy krową. Pozostaje pies, kot, ewentualnie ryba w akwarium, ale wydusić choć słowo od ryby będzie raczej ciężko...

— Czy ja wiem? — zastanawiał się tydzień temu, w rozmowie z przedstawicielem Przekroju profesor **ROMAN WOJTUSIAK** z Uniwersytetu Jagiellońskiego — niektóre z akwariowych rybek to wcale niezłe gaduły, tylko, żeby je usłyszeć trzeba trochę wysiłku, i odpowiedniej aparatury mikrofonowej. Radzę już raczej podsłuchiwać karpia, który aktualnie pływa w wannach większości polskich domów.

— A karp jest rozmowny?

— Oczywiście, zwłaszcza w przeddzień wigilii, kiedy pakują go do małej wanny ograniczając przestrzeń życiową, z których to faktów może spodziewać się wszystkiego najgorszego. Jest więc niespokojny, a tę informację przekazuje nam ruchem — krząc nerwowo od mydelniczki do ręczników — i głosem, który wydaje jednak nie przez otwór gębowy — lecz trąc skrzelami, w wyniku czego powstaje dźwięk, który określić można jako grzechot czy chrzęst, sygnalizujący wewnętrzny niepokój zwierzęcia. Chce pan go jeszcze bardziej zmusić do „mówienia” — proszę wpuścić do wanny kroplę świeżej krwi: zobaczy pan, jak zwierzę stanie się „rozmowne”.

— A krowa?

— Co krowa?

— No, co chce powiedzieć przez to swoje „muuuuu”?

Profesor, przylapany przez mnie w pracowni bioakustyki Zakładu Zoopsychologii i Etologii Zwierząt — między jednym a dru-

gim wykładem — wzdycha ciężko i od serca.

— Chce pan się nauczyć mowy zwierząt w ciągu pół godziny? Proszę nie zapominać, że nawet słynny doktor Doolittle z powieści Loftingha potrzebował na to aż roku, a nam, naukowcom, idzie to jeszcze wolniej, bo bioakustyka to dziedzina nauki nader młoda i dopiero nabiera rozmachu. A poza tym — nie wiem czy udało się panu dość wiernie odtworzyć owo „muuuuu”. Gdyby przyniósł nam pan ten dźwięk nagrany na taśmę, moglibyśmy przeprowadzić analizę i próbować „przetłumaczyć”.

Zakładając, że głos o którym pan mówi, był wydany przez krowę w wigilię, można przypuszczać, iż miał on informować otoczenie, że zwierzę jest głodne, bo świętujący gospodarze o nim zapomnieli... Oczywiście żartuję, ale przyszan się panu, że nauka dzisiejsza więcej, ba, znacznie więcej wie o mowie pszczoł czy mrówek, niż ssaków. Poza tym krowa ma nader ubogie „wnętrze” i wydaje głosy dość jednolite.

— Czy wszystkie zwierzęta mówią?

— Oczywiście. Ja sam — uśmiecha się profesor — słyszałem w Niemczech psa, gadającego ludzkim głosem. Była to jednak po prostu tylko umiejętność naśladowania głosu swego pana w określonych sytuacjach, a nie psie myśli, przełożone „z psiego na nasze”. Już lepiej starać się poznać mowę psa, a nie usiłować nauczyć go „ludzkiego”, co z biologicznego punktu widzenia jest bezsensowne.

CO MÓWIĄ ZWIERZĘTA...



Rysował ZBIGNIEW LENGREN

Psią mowę już trochę znamy. Z analizy szczeknięć, warkotów, skuczenia, piszków, wysokości tonów, możemy wnosić, kiedy zostały wydane i jaką informację psiak chciał nam przekazać. Trudniej zresztą psu dogadać się z nami, niż nam z nim. Mój Devy, owczarek alpejski, rozumie kilkadziesiąt słów, zna po imieniu wszystkich członków naszej rodziny. Ja natomiast reaguję tylko na część jego, skierowanych do mnie sygnałów dźwiękowych. Pies wydaje przecież niesłyszalne przez człowieka ultradźwięki. W Szwajcarii policja używa specjalnych gwizdów ultradźwiękowych słyszalnych tylko przez psy: rzecz bardzo przydatna na przykład przy pogoni za przestępcą.

Odlóżmy jednak rozważania o przydatności znajomości mowy zwierzęcej, bo to temat zbyt szeroki. A przecież jest teraz wigilijny wieczór, siedzimy przy uroczystej kolacji, na stół wjeżdża karp, którego obawy okazały się jak najbardziej uzasadnione. Na kolanie pani domu wskakuje kot. I nuci.

Zwierzę wybrało osobę, którą najbardziej lubi i wydaje pomruk powitania, który jest równocześnie oznaką zadowolenia. Pomruk trwa dłużej lub krócej, bo są koty straszne gaduły i straszne milczki. Gdy zwierzę zjeździe z kolan, będzie się nam ocierało o nogi, pragnąc za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. Jeśli mu się to nie uda — siądzie przy oknie i będzie gapić się na ptaki za szybą. I wte-

dy koci miaukot przejdzie w szczekanie: oznaka, że kocia dusza nie wytrzymuje już nerwowo i ruszyłaby do pogoni za zdobyczą.

A pies? Zakładając, że atmosfera rodzinna jest dobra, a i psu kapnęło coś niecoś z świątecznego stołu — położy się spokojnie w najwygodniejszym miejscu mieszkania i będzie czekał aż ktoś się nim zainteresuje. Jeśli do drzwi mieszkania zbliży się ktoś znajomy, zaszczecha charakterystycznym wysokim tonem. Jeśli będzie to ktoś obcy, ton szczekania będzie niższy, przechodzący w warkot. Znajomego od nieznajomego rozróżnia pies oczywiście węchem i robi to bezbłędnie, myląc się tylko w wypadku bliźniat jednojajowych: tych nie potrafi rozróżnić.

No i tak pospół, dmuchając wspólnie w ognisko domowe, w atmosferze wzajemnego zrozumienia, minie nam i zwierzętom wigilijny wieczór. Twierdzenie, iż jest to dzień, w którym zwierzęta mówią, wzięło się chyba stąd, iż wigilia jest porą, w której najłatwiej się rozumiemy, jesteśmy najbardziej ludzcy — i wobec siebie i wobec zwierząt, które gadają do nas na swój sposób, a na pewno wiele mają do opowiedzenia.

Prof. Wojtusiak demonstrował mi najbogatszą w Polsce taśmotekę, zawierającą ponad tysiąc utraconych na taśmie głosów zwierzęcych.

— Ale jeśli koniecznie chce pan w wigilię usłyszeć od zwierzęcia głos ludzki — mogę panu zaofiarować spotkanie z parą papug, przewiezionych przez jednego z marynarzy z dalekiej podróży. Tylko, że to, co one mówią, nie pasuje absolutnie do świątecznego nastroju, a już na pewno do obecności dam. Ale cóż — trudno mieć do nich pretensje, proszę pamiętać, że jeśli zwierzęta postępują naszym zdaniem źle i nieprzystojnie — to nauczyły się tego od ludzi.

który był gdzieś w tej okolicy między Tygrysem i Eufratem.

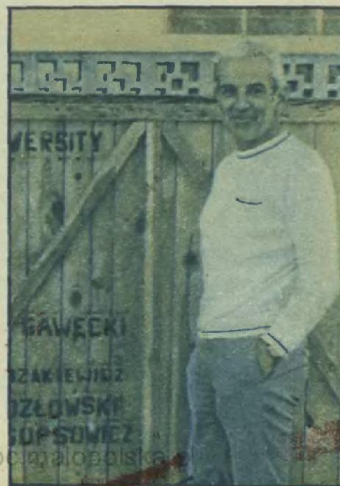
Uwierzcie tablicy, pod którą dłuży w nosie Kainek z Abelkiem.

Stoi ta tablica nad rzeką. Po tej rzece płynąć będą barki i statki, zbudowane z inicjatywy polskiego uczonego, doktora Agopsowicza. Wozić będą tony żółciutkiej siarki z kopalni pod Mosulem, którą wnieśli Polacy. Bo w tym raj, opisany przeze mnie na gorąco — odgrywamy niepoślednią rolę. Ahmed Abas, zawodowy guid nie wziął ode mnie ani grosza. Powiedział oburzony: Przecież Polacy są naszymi przyjaciółmi, a od przyjaciół ja nie biorę pieniędzy.

Zdjęcia autora

W trzcinowej chacie Marszów — przygotowania do uczty.

Dr Agopsowicz obok skrzyni pełnej sprzętu; przywiózł ją statek z Gdańska.



Zar

DEMONIZM ZAKOPANEGO

Poświęcone

Tymonowi Niesiolowskiemu

I

Używając terminu „demonizm”, musimy go choćby ogólnikowo zdefiniować. (Ileż nieporozumień nie byłoby wcale, gdyby ludzie piszący zadawali sobie trud definiowania pojęć, którymi się posługują). Demonizmą potęgą nazywamy taką, która włada lub chce władać nami, działając na drapieżne, okrutne i podłe instynkty, które w nas drzemają i czekają tylko sposobności, aby się objawić.

Czasem jednak pojęcie to musimy rozszerzyć, ogarniając wypadki bardziej skomplikowane. Teoretycznie nie ma indywidualum, które by postawione w pewne okoliczności nie było zdolne do popełnienia rzeczy najgorszych. Chodzi tylko o znalezienie takiej kombinacji zdarzeń, która by odpowiadała danemu charakterowi, danej konstrukcji psychicznej.

Dla obiektywnej atoli oceny demonizmu danej rzeczy, miejscowości lub osobnika, nie mamy żadnego stałego kryterium. Podobnie jak w sferze sztuki panuje tu zupełny subiektywizm i wszystko, co będzie tu wypowiedziane, musi z założenia cechować zupełną względność. Co do wartości „elementów” demonicznych, zupełnie inaczej będziemy je sądzić ze stanowiska społecznego, a inaczej z punktu widzenia „interesującości” osobistych przeżyć, inaczej jeśli chodzi o krótkie dystanse życiowe, a inaczej, jeśli o dalekie, nawet jeśli rozpatrywać będziemy jednego i tego samego osobnika, względnie nas samych. Możliwym jest, że demoniczna miejscowość, demoniczne kobiety, demoniczne zwierzęta wreszcie (tygrys, węże itp.) są szkodliwe, ale z drugiej strony czyż życie nie byłoby bez nich piekielnie nudne i bezbarwne. Zależy to oczywiście od tego, czy patrzymy na wszystko ze stanowiska pocziwego matola, czy też lubiącego niebezpieczeństwa, pełnego siły człowieka.

Dla ludzi słabych Zakopane jest prawie tak zabójcze — (oczywiście w czasie dostatecznie długim) — jak spotkanie z prawdziwie demoniczną kobietą. Dla rzeczywistych Tytanów Ducha (o ile takie w ogóle jeszcze istnieją) jest ono miejscem, w którym kondensuje się ich istota, rozwierają się nowe dla nich horyzonty i twórczość artystyczna, społeczna czy naukowa stwarza nowe formy i buduje nowe wartości.

Nie mówimy tu oczywiście o tak zwanych ludziach zwykłych. Ci zawsze są jedacy, czy w Zakopanem, czy w Tropikach, czy w Laponii. Oni przystosowują się do każdego warunków, wszędzie znajdują odpowiedni „business” i wszędzie mogą wypompuwać mniejszą lub większą ilość pieniędzy.

Zakopane jednak ma swoje niebezpieczeństwa, których mogą nie uniknąć nawet ludzie silni, niebezpieczni, które powstają na tle trudno zrazu dających się zaobserwować zmian w układach psychicznych. Zmiany te początkowo nieznaczne, i w tym właśnie groźne, zachodzą w poglądach dla danego osobnika najistotniejszych i posiadają jedną wspólną cechę, niezależnie od tego, z jakim systemem idei będziemy mieli do czynienia. Można je zmiana określić jako przesunięcie wartości w kierunku stanów przyjemności, powstających jako uboczny skutek dokonania czegokolwiek bądź, na niekorzyść oceny obiektywnego wyniku danej pracy. Na ogół zadowolenie z dokonanego czynu lub dzieła jest wprost proporcjonalne do oceny jego przez dokonującego indywidualum według kryteriów przez nie posiadanych.

Oczywiście, że mamy tu do czynienia z całą skalą obiektywnych kryteriów, zależnie od tego, czy rozpatrujemy twórczość artystyczną, naukową czy praktyczną. W innych wypadkach może rozstrzygać dana grupa lub klasa ludzi, względnie cały naród lub społeczeństwo, czyli że

w pewnych razach zadowolenie tworzącej jednostki jest proporcjonalne do zadowolenia lub niezadowolenia (o ile ono było celem) innych osobników lub całych grup ludzi.

Mimo że zwykle jest związek stały między zadowoleniem a obiektywnym wynikiem, mogą zająć przypadki zupełnego rozdzielenia między wartością dzieła lub czynu, a stanem twórcy (szczególniej w sferze twórczości artystycznej i społecznej) i artysta pieniać się z metafizycznej rozkoszy, tworzy rzecz niedzną, która w nikim metafizycznych uczuć nie wzbudzi, a mąż stanu, pijany od zamiaru uszczęśliwienia ludzkości, będzie potem skopany i wysmiany.

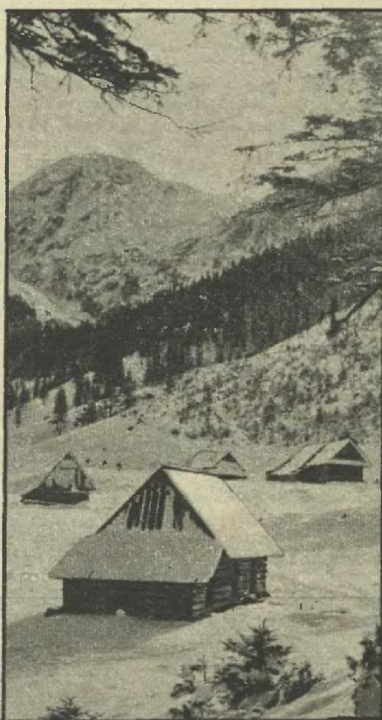
stością tętniącego dookoła życia, stają się tylko okazami, mogącymi zainteresować jedynie psychopatologów lub też ludzi świadomie oddających się perwersji w wszelkich odmianach. Są bowiem ludzie, którzy programowo niszczą najistotniejsze swoje wartości, przeżywają siebie najpełniej i najdokładniej. Typ ten, rozpowszechniony dawniej wszędzie równomiernie, ginie dziś prawie całkiem na Zachodzie (...), u nas znajduje się w stanie kryzysu, z którego już pewno nigdy podnieść się nie zdoła ku zadowoleniu wszystkich odcieni społeczników.

Trzeba jednak przyznać, że w tym to typie ludzi, przynajmniej u nas, znajdujemy często przedziwnych twórców w sferze sztuki, jak również (choć rzadziej) w sferze myśli, do której nie zawsze można stosować prawa logiki formalnej. Dla tego ty-

ludzkie nazywamy działaczem społecznym). Wszystko jest względne i jeśli nie bierzemy jako kryterium użyteczności ogólnej, nie możemy przeprowadzić żadnego wartościowania.

W pewnych jednak granicach obowiązuje następujące twierdzenie, które musimy na razie przynajmniej podać jako dogmat, nie siląc się na jego uzasadnienie, a mianowicie, że każda rzecz stworzona i czyn dokonany wzbogacają przeżycia wewnętrzne, nie mówiąc już o tym, że ułatwiają lub nawet wprost powodują stworzenie lub dokonanie czegoś nowego, podczas gdy jakiegokolwiek niewykonane zamiary, zatrzymują duszę specjalnym gatunkiem psychicznych ptomai (?) i powstających z rozkładu nieużytkowanej siły. Z tego punktu widzenia, o ile jest się już przeznaczonym aby działać, a nie zatracać swoją osobowość w beczynnym rozmyślanii, wszystko niespełnione staje się jedną z najgorszych wewnętrznych zbrodni przeciw swemu przeznaczeniu, spełnienia swojej myśli na naszej planecie.

Dłuższe oddziaływanie atmosfery zakopiańskiej (zaczynając od paru miesięcy aż do lat kilku, zależnie od współczynnika odporności danego indywidualum) przekształca nawet dość stosunkowo sil-



Stanisław Witkiewicz (po lewej) i S. I. Witkiewicz (s. 1911 r.)

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ jako pisarz debiutował reportażem Z podróży do Tropików, ogłoszonym we wrześniu 1919 r. w tygodniku „Echo Tatrzzańskie” (była to relacja z podróży do Australii, jaką Witkacy odbył w r. 1914 z ekspedycją Bronisława Malinowskiego).

Zaraz potem na łamach tego samego pisma ukazał się artykuł Demonizm Zakopanego (w numerach 19—22 z listopada i grudnia 1919 r.). W lipcu 1927 r. przedrukował go w całości warszawski dziennik „Epoka”, prowa-

dzący stałą rubrykę Życie Podhala (nr 182—183, 185—186).

Artykuł ten, przypominany często przez przyjaciół Witkacę, dziś już — z powodu trudności w dotarciu do obu czasopism — znany jest tylko nielicznym badaczom twórczości autora Nienasyceń. Warto go zatem

W tych ostatnich wypadkach rozstrzyga zwykle czas, to wielkie sito dla wszelkich ludzkich wartości. Nie mówiąc dalej o tych rzeczach z powodu zasadniczego wstrętu do truizmów, przejdziemy do kwestii kryteriów indywidualnych. Tu w całej pełni objawia się zakopiański demonizm. Wskutek dłuższego przebywania w tej zakłętą miejscowości ludzie (z wyjątkiem mieszkańców stałych i autochtonów oddających się realnej pracy) tracą zupełnie względnie obiektywne kryteria, którymi mogą ocenić wartość dzieł stworzonych; oczywiście na krótki dystans czasu. Raczej kryteria ulegają nieznaczącej a zasadniczej ewolucji i po pewnym czasie stan zadowolenia staje się celem sam w sobie, niezależnie od głosu Dajmoniona, który w chwilach jasnowidzenia coraz słabszych i krótszych, ostrzega niebezpieczeństwa zakopiańczyka o błędności drogi, na którą zabrnął.

W atmosferze Zakopanego, tak zabójczej dla tuberkulicznych bakterii, tak pełnej wściekłego dopingu dla ospałych fagocytów, unosi się subtelny narkotyk, stokród gorszy od dymów opium i haszyszowej marmelady, narkotyk, którym omamieni twórcy wszelkich dziedzin porażają się w zupełny omphalopsychizm, czyli nieokreślona kontemplacja swych metafizycznych pepków, bez żadnej uwagi na to, że dzieła ich coraz słabsze i coraz mniej mające wspólności z rzeczywi-

pu ludzi Zakopane jest prawdziwym rajem, straszliwą oranżerią, w której rozrastają się oni, jak potworne rośliny, psując się przy tym od środka, a czasem i od powierzchni z wznoszącą się szybkością. Można zastrzymać proces ten, przenosząc osobnika takiego rodzaju w inne warunki: na odległą wieś polską, do Ameryki lub Australii. Ale nie na długo to się przydać może. Narkotyk działa dalej w postaci tzw. „zjawisk abstynencji” (Abstinenzerscheinungen) i czy prędzej czy później osobnik taki wrócić musi, ciągniony nieprzepartą siłą przyzwyczajenia i dokonając nieuniknionego procesu samozniszczenia.

II

TU nasuwa się pewien problemat, a mianowicie kwestia wartości przeżyć indywidualnych w stosunku do ich realnych wyników. Czy można powiedzieć, że przeżycie indyjskiego mędrcy, który pokonałszy wolę do życia, stapia się w rozmyślanii z wszechistnieniem, mniej są warte od przeżyć tego rodzaju działacza społecznego, co Lenin np. lub Napoleon I. (Każdego, który w jakikolwiek sposób bezpośrednią swą działalnością transformuje masy

nych ludzi czynu w pseudokontemplatorów, zajętych jedynie obserwacją zmian zachodzących w ich zepsutych i zatrutych mózgach. O ile ludzie zatracający się w życiu przeżywają siebie w tej atmosferze w sposób istotny, o tyle dla natur silnych, dotkniętych zakopiańską psychozą, życie staje się tragedią, w którą brną one nieświadomie, a nie wiedząc, że w początkach choroby zmiana miejsca mogłaby ich radykalnie uleczyć.

Ale jak walczyć z czymś, o czym się nie wie? Dlatego właśnie podjęliśmy się sformułowania tego poglądu, aby tym, którzy jeszcze uratowani być mogą, dać bron do ręki dla walki z potwornym narkotykiem.

Podobnie jak malarze leczą się przez opuszczenie okolicy, w której się jeł do stało, tak zakopiański narkotyk można jeszcze pokonać, o ile dość wcześnie rozpocznie się z nim walka.

Jest pewien typ zakopiańczyków tzw. nieuleczalnych. Ci z uśmiechem pogardy przecytują pewno te słowa, tak jak palacz opium z pogardą będzie słuchał tego, który by go namawiał do porzucenia zgubnego narkotyku. Czymże bowiem jest nędzne, realne życie wobec potwornej rozkoszy wizji, mającej wszelkie pozory rzeczywistości, wizji, w której człowiek nie budzi się, ale przechodzi w sposób ciągły do szarej nudy codziennej. Czymże jest życie pełne gorączki i realnej twórczości tam, na dolinach, wobec urojoną, a jednocześnie tak rzeczywistą, jak uderzenie pałką po łbie, szatańskie przy-

jemności przeżywania siebie prawdziwego zakopiańczyka w uniezależnieniu od wszystkich norm, na tle jedynej w swoim rodzaju dekoracji gór groźnych i potężnych i romantycznych dolin i wąwozów.

Nie bowiem nie jest w stanie zniszczyć wspomnień piękności tej piekielnej zaiste kramy, tak jak nie jest w stanie zatrzeć skutków demonicznej miłości w duszy prawdziwego erotomana. Ani pełne melancholii jeziora Litwy, ukryte wśród wzgórz porośniętych sosnowym i brzoźowym lasem, ani tropikalne puszczę Indii, ani czerwone jak cegła pustynie Australii, nie mogą zniszczyć wizji zakopiańskiej zimy, która ma w sobie zar tropików, zakopiańskiej wiosny, w której wszystko zdaje się nie rozdzić lecz umierać w strasznym, beznadziejnym smutku, ani lata we wnętrzu gór wśród granitowych kolumn, odbijających się w zielono-błękitnych jeziorach, ani jesieni, w której cała zakopiańska natura zdaje się istotnie rozkwitać w zniszczeniu i zepsuciu, rodzącym najcudowniejsze barwy.

Bo przecież demonicznie nie wpływa na duszę spotworniały i wciąż jeszcze potworniejsze małe miasteczko, co u stop gór, jak pień chyba się rozpełzło, ani kawiarnie Tatrzńska, Karpowicza, ani

ny, której skład psychiczno-chemiczny staramy się tu zdaje się po raz pierwszy w ogóle zanalizować. Człowiek mający tzw. „zakopiańskie problemy” staje się niezrozumiałym dla psychicznego „cepra” z dolin. On traci dawnych przyjaciół, nie uznaje kobiet z „tamtej strony liny” — jak by powiedział nieodżałowany Tadeusz Szymberski; najpiękniejsza kobieta staje się dlań niezrozumiała w swych erotycznych przejawach z chwilą, kiedy nie przeszła przez zakopiańską tresurę. Czymże bowiem jest najdziwniejsza nawet perwersja bez dodania do niej czysto zakopiańskiego erotyzmu, bez paru silnych dawek zakopianiny?

Miłość staje się tutaj wzajemnym zagębianiem się dwojga istot w nielustniejącej komplikacji uczuć, łączeniem się w rozdwojeniu, rozdwojaniem się w jedności, upoczwornieniem się w niedopasowaniu porozumień, nieporozumieniem w absolutnej zgodzie o nieskończonowłosowym wykładniku bezdennej zawilosci. „O, jak się dziwnie wykrzywiają chwile” — szeptała przed laty pewna dama, konająca od chronicznego zatrucia zakopianiną. I miała rację: chwile nie tylko się wykrzywiają, one się przekrzywiają zupełnie na tę drugą stronę, po której słowa takie jak miłość, nienawiść, zazdrość lub pożądanie tracą sens wszelki i wzbudzają tylko uśmiech pogardy na twarzach (o ile je twarzami w ogóle nazwać można) prawdziwych zakopiańczyków i zakopiańczyk (w odróżnieniu

wego zakopiańczyka (nawet gdy załatwia codzienne sprawy życia) ma w sobie coś dośrodkowego (pepko-centrycznego), podczas gdy wzrok zwykłego człowieka czasem tylko przybiera ten charakter. (...) Poza tym mówią oni o rzeczach dla cepra kompletnie niepojętych, które mogą być jednak sprowadzone do pojęć takich, jak: ogólna kompozycja życia, przeżycie dzisiejszego wieczoru, zatrzymanie w swym biegu przeżywania bezpośredniego, usprawiedliwienie artystyczne upadku, samo pojęcie upadku (ze specjalnym zaakcentowanym dodatkiem: „wewnętrzne-go”), metafizyka bilardu lub szachów, sprzeczność uczuć najprostszych np. głód przy jednoczesnym apetycie i to zarówno fizycznym jak duchowym.

(...) Scałkowanie zaś tych elementów możliwe jest jedynie wtedy, gdy się już jest zakopiańczykiem, a wtedy wszystko przepadało, oprócz honoru.

Honor jednak nie ulega transformacji pod wpływem zabójczej atmosfery lokalnej, ale kwestia ta wymagałaby osobnego głębokiego studium. Weźmy parę przykładów. Don Juan zakopiański np. traci poczucie tego, kogo i dlaczego uwdzi — to poczucie, które stanowi o wartości jego przeżyć, nie tylko dla niego samego. On nie uwdzi też właśnie osoby rano przy-

Jest to według pogardliwego wyrażenia prof. Bronisława Malinowskiego „artystyczne przeżywanie” par excellence, a przypomniał sposoby pewnego pana, który faute de mieux zwiędając pewne, w niektórych państwach zupełnie uprawnione instytucje, miał pewne przekonanie, że jest poligamicznym wschodnim księciem, władającym urozmaiconym haremem.

Oczywiście, życie narzuca pewne fakty. Adwokat musi bronić dziś sieroły panny X., chociaż miałby wielką ochotę na „lustmördera” np., albo na nalogowego koniokrada. Chodzi wtedy o to, aby fakt dany wchodził par force w kompozycję całości, aby uczynić go taką artystyczną koniecznością, jak dany temat w danej symfonii np. Dzieje się to przy pomocy tzw. „wolt psychicznych”, w których przede wszystkim celuje każdy prawdziwy zakopiańczyk.

„Wyższością jednego człowieka nad drugim nie jest zdolność tworzenia wyższych rzeczywistości, tylko zdolność doskonalszego teoretyzowania rzeczywistości już stworzonych”, jeśli możemy pozwolić sobie na zacytowanie jednego z naszych dzieł pośmiertnych. (...)

Lecz jeśli życie tworzy się jak sztukę, coż dzieje się z samą Wielką Panią Sztuką w tej atmosferze przetwarzania wszystkiego. Sztuka kąsa sama siebie w ogon, jest szczerem perwersji i odwrotności wszystkiego, co za sztukę uważanym było; jest ostatnim zaprzeczeniem samej siebie, powiedzieliby znawcy. My przemilczymy ten problemat z powodów łatwo zrozumiałych. Tak więc wszystko sprowadza się do tego, aby w rozmowie z sobowtórem, z przyjaciелеm lub z Nią (przez wielkie N), tak przeinaczyć rzeczywistość, aby stała się ona godną być częścią wielkiej zakopiańskiej symfonii życiowej.

A więc, powiedzą nam wszyscy poszukiwacze życiowej prawdy, jest to najordynarniejsze kłamstwo i wmnawianie w siebie rzeczy nieistniejących. My nie bronimy tutaj niczego, stwierdzamy tylko fakty, starając się ukryć możliwie najgłębiej istotny pogląd osobisty, jak prawdziwy krytyk sztuki. Czy lepsze jest przeżywanie wszystkiego, tak jak Bóg dał, czy też systematyczne okłamywanie siebie, nie da się bezwzględnie określić. Gdzie jest miara między kłamstwem a prawdą, którą trzeba w życiu stosować, jest tajemnicą ludzi, umiających żyć naprawdę, tzw. „King of life’ów”.

Z jednej strony mamy osobniki niczym nie różniące się od bydła, z drugiej blagierów zropanych, że nie tylko innych, ale i siebie nawet oblałowac nie potrafia. Gdzieś w posrodku znajduje się ta elita, której zaszczyt stanowią w Polsce (przynajmniej w ich własnym mniemaniu) prawdziwi zakopiańczycy, tj. ci, którzy potrafia pochłaniać maksymalne dawki zakopianiny, zachowując przy tym hierarchię godności ludzkiej (...) w chłodności ludzi tworzących istotne życie swego narodu.

Tak więc na końcu doszliśmy do zupełnie innej definicji demonizmu, niż tę, którą postawiliśmy na początku. Nawet demonizm zakopiański jest innym niż wszędzie gdzie indziej. Możliwym jest, że żyjąc w tej zaklętej krainie (którą w tak skondensowany sposób opisał Tadeusz Miciński w *Nietocie*) staczamy się w otchłań.

Ale jest to piekielnie przyjemne w swojej męczarni (jak każda zresztą perwersja), że możemy tylko błogosławić siły, które polski organizm obdarzyły takim wyrostkiem robaczkowym (kiszki ślepe), jakim jest Zakopane. A można mieć nadzieję, że przy dalszym zdrowieniu polskiego organizmu i nam nie grozi żaden apendicitis i mimo całej pozornej nieużyteczności Zakopane trwać będzie dalej i wytwarzać coraz to nowe formy psychopatów polskich. (...)



S. I. Witkiewicz — 1911 r.



S. I. Witkiewicz — 1912 r.



S. I. Witkiewicz — 1932 r.



S. I. Witkiewicz — 1938 r.

przypomnieć, tym bardziej iż znaleźć w nim można wiele sformułowań ważnych dla zrozumienia osobowości autora i charakteru jego utworów. „Życie zamieniać na sztukę” — ta dewiza, którą kieruje się prawdziwy zakopiańczyk, jest także zasadą bytowania przez wielu bohaterów

powieści i dramatów Witkiewicza. A z relacji jego znajomych i przyjaciół wynika, że on sam często ją stosował, organizując swój niezwykły „teatr życia”, świadomie i celowo aranżując takie sytuacje i zdarzenia, aby „tworzyły kompleksy mające charakter abstrakcyjnego piękna”.

Ta problematyka łączy Demonizm Zakopanego z felietonem O dandyzmie zakopiańskim, który „Przekrój” opublikował w numerze 1463.

Artykuł Demonizm Zakopanego ukaże się w Pismach rozproszonych Witkiewicza, których wydanie przygotowuje Państwowy Instytut

Wydawniczy. Obecnie drukujemy go z wielkimi skrótami, cytaty zachowujemy zgodnie z pierwodrukiem.

Podał do druku i opracował:
JANUSZ DEGLER

Reprodukcje zdjęć S. I. Witkiewicza — KRYSZYŃ NA GORAZDOWSKA

samemu nawet Trzaski, nie pensjonaty i sanatoria, nie alkohol i nikotyna, bo te przecież zawsze są te same. Nie — to działa sama natura, to zagłębienie, zapadnięcie się, to zakopanie się wreszcie w górach, zagradzających swą narkotyyczną pięknoscią drogę do życia, zakopania się fizycznie, które doprowadza do stokroć gorszego zakopania się w samym sobie, do tej Dementia precoc zakopianensis, co do której prognoza jest przeważnie mętna, jeśli nie beznadziejna.

Przynajmniej ostatnie wyniki psychoanalizy Freuda, tej ostatniej deski ratunku dla mniej szkodliwych wariacji, nie są wcale pocieszające. „Was ist doch mit diesen polnischen Frauen? Zakopane, immer Zakopane” — mruzczał podobno kiedyś pod nosem jakiś wielki specjalista od hysterii w Wiedniu. Tak więc, używając terminologii psychoanalityków, kompleks zakopiański, na razie przynajmniej, jest nie do rozwiązania. Nawet ci, którzy nie zostali notorycznymi nieuleczalnymi zakopiańczykami muszą przyznać, że co najistotniejsze w ich życiu, stało się w Zakopanem właśnie, a jeśli nie zażło, to w takim razie zażło mogło, w innej miejscowości nie zajdzie już na pewno nigdy.

Nazywano niegdyś Zakopane „duchową stolicą Polski”. My nazwalibyśmy je inaczej: generalna cytównia specyficznego, zresztą czyż to polskiego narkotyku, zakopiani-

od zwykłych zakopianek, nie różniących się bardzo od ogólnego typu polskich kobiet). Jak można mówić o czymś tym tajemniczym i potwornym, co łączy w Zakopanem dwie dusze, a nawet ciała, w terminach tak wulgarnych jak miłość np.? Jak można profanować tak szalone misterium, jakim jest połączenie się dwojga istot w zakopiańskich wymiarach?

Istnieje bowiem zakopiański wymiar psychiczny, tak niedostępny dla duchowego „cepra”, jak niedostępnym jest wymiar siódmy dla istoty w sześciu tylko wymiarach żyjącej.

III

M oże ludzie nie dotknięci zakopiańską chorobą będą nas pomawiać o nadawanie jakiejś wyższej wartości zwykłemu próżniactwu i niezdolności do czynu pod pozorami jakiegoś urojonego zakopianizmu. Tych poprosimy tylko o dłuższe „przeżywanie” w tym zaklętym świecie. Jesteśmy pewni, że eksperyment się uda i ujrzymy ich wkrótce ze specjalnymi odznakami psychozy zakopiańskiej na twarzach, błędzących bez określonego celu, pełnych klasycznie zakopiańskich problemów (Zakopianische Problemen, Problemes zacopanes, zakopianical problems, Problemi zacopianici). Jakże są to symptomy dość trudno określić. Zasadniczym jednak dla różniczkowej diagnozy jest to, że wzrok prawdzi-

pujemy (w Zakopanem wszystko jest możliwe) dlatego, że to jest jego koniecznością, że mu się podoba, że zadowolony swój snobizm — gdy ona jest uytulowana lub pragnie być taka — albo że odświeży swoje serce, o ile jest kobieta zwykła. Nie — zakopiański Don Juan uwdzi o 11 z rana, aby wieczór, zakopiański wieczór miał dla niego pewien specjalny charakter; aby mógł mieć on pewne myśli uboczne, z uwiedzeniem samym nie mające wspólnego, a których bez uwiedzenia tej właśnie osoby nie byłby tego wieczoru nie mógł. Nie chodzi nam o sam fakt, tylko o tzw. „produito secondaires”, które dla prawdziwego Don Juana są czymś znikomo małym. Czyż człowieka takiego można nazwać prawdziwym Don Juanem?

To samo, tylko na odwrot, jest z paniami. Nie mówimy o kobietach zwykłych, bo te nie poddają się działaniu zakopianiny zupełnie.

Dalej weźmy zakopiańskiego adwokata np. Czy chodzi mu o to naprawdę, aby pognębić paskarza, albo uszczęśliwić jakąś sierotę rozwodem lub spadkiem? Bynajmniej, on myśli o tygodniu pracy jak człowiek, który z kartą w ręku układa „menu” swego obiadu. Fakty same przez się nie obchodzą go wcale — obchodzą go kombinacje faktów, łączące się w artystyczne całości.

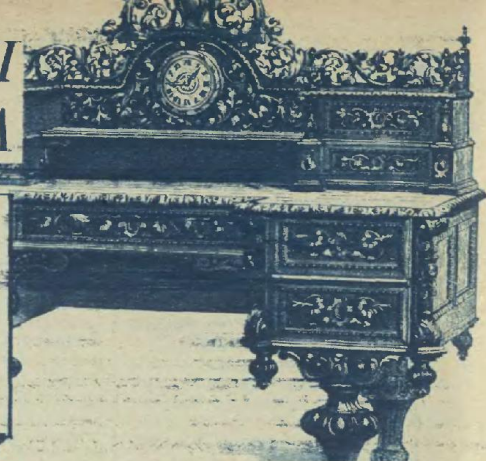
Tu doszliśmy do jądra sprawy: życie zamienia się na sztukę, komponuje się wypadki, aby tworzyły kompleksy, mające charakter abstrakcyjnego piękna.

Zamieszczamy kolejny fragment (poprzednie w P. 1495 i 1496) drugiego, jeszcze nie publikowanego tomu KARAFKI LAFONTAINE'A. Całość przygotowała do druku Wydawnictwo Literackie.

Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji P.



JAK PRACUJĄ PISARZE



NIE DOSYĆ JEST PRACOWAĆ. W pracy należy mieć system. Praca bez wypracowanej metody, przystosowanej do danej indywidualności pisarskiej jest mniej owocna. Dlatego każdy pisarz starał się wytworzyć sobie metody pracy.

Początko się to krótkim kanonem, jak napis na drzwiach studium Nałkowskiej („Stukać można tylko między godziną czwartą i szóstą”), kończyło na nieraz bardzo wypracowanych systemach.

„W tych rzeczach — pisze Jarosław Iwaszkiewicz — nie ma ścisłych prawideł. Każdy inaczej przygotowuje się do pisania, każdy inaczej zbiera materiały, każdy inaczej je użytkuje. Jeden pisuje przy stoliku, inny stojąc przy pulpicie (Rilke), inny dopada swojego zeszytu gdziekolwiek bądź, jak na przykład Joseph Conrad, którego żona nieraz zastawała w łazience, grzymołącego na kolanie swoje rękopisy, z których powstawały arcydzieła”.

OLBRZYMIA PRACA LUDWIKA KRZYWICKIEGO, jednego z pierwszych propagatorów marksizmu w Polsce, redaktora pierwszego polskiego wydania „Kapitału” Marksa, organizatora Głównego Urzędu Statystycznego, przechodzącego siły jednego człowieka, była możliwa dzięki temu, że umiał nadawać jej tempo i formy, odpowiadające najlepszej wydajności. Samego siebie uważał za narzędzie tej pracy i odpowiednio się traktował. Wytworzył sobie przyzwyczajenia, od których starał się nie odstępować. Dzień dzielił między pracę naukową, zajęcia w szkołach, rozmowy itp. Na każde zajęcie miał z góry zaplanowaną porę dnia. Tak np. odczyty miewał wieczorami w te dni, gdy z rana nie miał wykładów. W środy, aby zachować świeżość także w drugiej połowie tygodnia, pracował tylko do południa. Plan pracy układał z góry na rok, potrzebne materiały z bibliotek obcych czerpał w czasie letniego wyjazdu za granicę.

Dwie, trzy godziny dziennie pracował w bibliotekach. Wszędzie zebrania, w których musiał uczestniczyć odwiedzał tylko wtedy, gdy uważał, iż obecność jego jest potrzebna. Gdy spostrzegł, że omawiane sprawy dobiegają do sedna rzeczy, mówił co miał do powiedzenia i wychodził. Czynił to także, gdy zebranie się przeciągało, wtedy w przyległym pokoju uciął piętnastominutową drzemkę, po czym wracał.

„PRÓŻNIAK JESTEM — mówił Reymont — więc sobie wydzielałem na każdy dzień robotę i póty nie wychodzi, póki jej nie skończę”. Reymont pisał rano zazwyczaj godzinę lub dwie. Do utworów swych przygotowywał najpierw rodzaj obszernego brulionu-konspektu, po którego ukończeniu przystępował do tzw. przepisywania, polegającego na tym, iż z jednej strony brulionu powstawało kilkanaście stron tekstu ostatecznego.

Pisanie nieraz jest cięższą pracą niż praca w kamieniołomach. Sienkiewicz pisał do prof. Kazimierza Morawskiego, prezesa Polskiej Akademii Umiejętności: „Po jakim sześciu lub siedmiu godzinach odczuwam nieprzezwyciężony wstręt do pióra”. A do Krechowickiego: „Wczoraj skończyłem „Quo Vadis”. Ledwo tchnę. Gdybym pił, hulał, grał w karty, jeszcze bym nie był tak zmęczony”.

Pani Parandowska mi mówiła, że pewnego razu doznała lęku, zastawszy męża przy pracy: miał zaciśnięte kurczowo ręce i widoczne żyły na czole.

Podejrzliwie bym się odniósł do pisarza, który by lubił pisać. Tomasz Mann twierdził, że „pisarz to człowiek, któremu pisanie sprawia większe trudności niż innym ludziom”.

Tak np. Sienkiewicz w pisanie trzymał się następującej metody. Wypracowywał najprzód szczegółowy plan i skrupulatnie go spisywał. Plan ten, jak sam pisał „wre i fermentuje” w jego głowie. Będąc gotowym do rozpoczęcia dzieła dzielił swój czas nie na dni, lecz na tygodnie, i tak z tygodnia na tydzień spisywał pewną ilość. Pisał prawie bez poprawek i

nigdy nie przepisywał, tak że miał zawsze tylko jeden manuskrypt, który odsyłał do druku. Chociaż cały plan dzieła miał najprzód ściśle obmyślony, ale nie zawsze ściśle się go trzymał. „Wrzenie i fermentacja” wywołują zmiany i stosownie do tego zmieniają szczegóły. Jeżdżąc wozem ze sobą potrzebne książki, niezależnie od tego, czy był w Polsce, czy we Włoszech, czy we Francji.

Zamykał się z przygotowaną lekturą podczas godzin pracy, które dla niego zaczynały się o 8 lub 9 rano do 1 po południu, a także i kilka godzin później. Wieczorem po obiedzie nie pisał nigdy.

TYTAN PRACY KRASZEWSKI, aby podobać się ogromowi swego pisania, musiał we wszystkim stosować się najściślej do zegarka. Możemy, opierając się na rachunku prawdopodobieństwa powiedzieć, że przez pięćdziesiąt lat swej działalności autorskiej wysłał on w różne strony świata najmniej 200.000 listów, nie licząc w to naturalnie tysięcy korespondencji literackich do różnych pism krajowych i zagranicznych.

W domu Kraszewskiego punktualność też była wielką. Chcąc wszelkim spóźnieniom zapobiec, kazał najlepiej chodzący zegar umieścić w kuchni. Punkt o wpół do dziewiątej z rana dawano herbatę lub kawę; punkt o drugiej obiad, punkt o siódmej wieczorem znowu herbatę. Po wieczornej herbacie nie przyjmował już nikogo i nie rozmawiał z nikim. Teraz dopiero zabierał się do pisania na serio. Do biurka właściwie zasiadał codziennie przed dziewiątą z rana. Tu oczekiwał go już zwykle plik listów i gazet. Przez parę więc godzin, a więc do jedenastej przed południem, czytał otrzymane pierwszą pocztą książki, dzienniki, listy, na które to odpowiadał natychmiast (dnajmniej nie byłby w stanie im podać). Od jedenastej do pierwszej przyjmował zwykle gości. Od pierwszej do drugiej znowu przeglądał nadesłane książki i dzienniki lub odpisywał na listy. Punkt o drugiej zasiadał do obiadu, który trwał najdłużej do trzeciej. Od trzeciej do czwartej, gdy sprzyjała pogoda, czasem i do piątej odbywał spacery powozem lub pieszo. Wróciwszy do domu, do godziny szóstej przeglądał otrzymane dzienniki lub książki, rozciął wszystkie kartki, robił notatki, zbierał materiały, wertował różne źródła, czytał nadesłane z różnych stron korekty (niektórych dzieł własnych o obcych, wydawanych przez siebie), czytał nieraz kilkutomowe rękopisy cudze, rozmawiał z domownikami, najrozmialsze im dawał zlecenia itd., itd.

Od szóstej do siódmej, tj. do wieczornej herbaty, grywał na fortepianie i organach lub wzdłuż kilku pokoi przechadzał się w zamyśleniu. Po wieczornym posiłku zasiadał do pisania. W niedzielę i święta Kraszewski bawił się dla rozrywki rysunkiem i malarstwem.

Egon Naganowski pisze o Tomaszu Mannie: „Sam stworzył sobie rygory, których nie nie mogło obalić. Miał stałe godziny pracy (w autobiograficznej książce „Jak powstał Doktor Faustus” pisze o trzech, czterech najlepszych, ściśle wydziałonych godzinach dnia poświęconych twórczości, przeważnie przed południem), miał ustalone pory na obszerną lekturę (bądź źródłową do danego dzieła, bądź „sprzyjającą” w nastroju temu, co pisał), na korespondencje, spacer, grę w tenisa itd. Gospodarował swymi siłami roztropnie i konsekwentnie”.

ERICA MANN W SWOICH PAMIĘTNIKACH o ojcu potwierdza te charakterystyki... „normalny porządek dnia stał pod znakiem Lutra, któremu Tomasz Mann, jako pisarz poświęcał odtąd przeważnie swoje myśli. 46 stron zapisanych ciasno małymi literami, przeciętnie po 340 słów na stronie, świadczy o tym, jak dalece ojciec zdołał zagłębić się w temat wesela Lutra w chwili, gdy musiał odczytać pióro. Na notatkach — wszystkich tych wyciągach, wskazówkach, przypuszczeniach, wnioskach, historycznych nazwiskach, datach i faktach — widnieją często czerwone podkreślenia, obraz namiętnego poszukiwania, który daje pewne pojęcie, jeśli nie o planowanej sztuce, to przynajmniej, tak mi się wydaje, o taktyce okrażania, przy pomocy której [jak w wypadku „Lotty w Weimarze”] pisarz, miał zamiar ustawić swego bohatera i nadać mu wyraziste kształty”.

WINSTON CHURCHILL TWIERDZIŁ, że najlepszymi improwizacjami są te, które zostały starannie przygotowane. Przy gromadzeniu materiałów posilkował się dobrze wyszkolonymi researcherami. Hemingway, mimo jakże kolorowych ucieczek w relaks, stworzył sobie, tak samo jak Mann surową dyscyplinę pracy codziennej, rozpoczynając się o świcie i prowadzonej do południa. Nie mogąc od czasu wypadku w roku 1954 pracować na siedząco, pisarz co dzień stał przez długie godziny przy specjalnie skonstruowanym pulpicie i pokrywał wyraźnym, dużym piśmem luźne karty papieru, w przeważającej części miękkim ołówkiem (temperował dwadzieścia ołówków przed rozpoczęciem pracy).

Z kłopotem ewidencyjnym materiał każdy pisarz radził sobie po swojemu.

Najbardziej romantyczna podróż nie zmieniała rytmu pracowniczego życia George Sand. Żądała dla siebie ośmiu godzin pracy. Pisała spokojnie bez skreśleń, dopóki nie wykonała dziennego zadania — ryglowała drzwi.

Męczące obowiązki urzędnika sądowego nie zmniejszały codziennej porcji literackiej, jaką zakreślał sobie Walter Scott. Na biurku leżały stosy kart papieru równo poukładane i poznaczone, aby mógł odnaleźć łatwo to, czego potrzebował. Książki na półkach także były ustawione w idealnym porządku, a drewniane zakładki stały w miejscach, gdzie książka była chwilowo wyjęta.

STENDHAL ROBIŁ LICZNE NOTATKI NA STRZĘPKACH PAPIERU. Poe sklejał oddzielne kartki jedna przy drugiej w długie paski, które zwijał w rulon.

Montaigne mógłby dawać przykład pisarstwa bez z góry opracowanego planu i wybranych materiałów. Jego „Próby” są pisane niejako spontanicznie, materiał narasta w czasie pisania i niejednokrotnie to nie autor nadaje kształt dziełu, a dzieło kumulując i wchłaniając zebrane materiały niejako formuluje, a w każdym razie precyzuje poglądy autora.

Prus pisał: „Im lepiej autor obserwuje, tym plany jego są mniej schematyczne: im ma żywszą fantazję, tym tworzy plany bardziej powikłane. W każdym razie „wymyślać” niewiele potrzebuje, gdyż sam temat prowadzi go za rękę. Autor tu bardzo mało ma do roboty, prawie ogranicza się na porządkowaniu, gdyż plany robi za niego natura, przyrodzony bieg rzeczy”.

Pisarz zaczyna się na każde słowo... Co mówi Jego gosposia, jego teściowa, taksówkarz — jest dla niego również nieskończenie ważne: odbicie od zwierciadła życia fali, którą wysłał.

WILLIAM FAULKNER STWIERDZA, iż pisać należy wtedy, kiedy przychodzi na to ochota. Nie należy wyznaczać sobie określonych godzin pracy. Pisarz jest zajęty codziennymi, prozaicznymi zajęciami, prześlancowuje rośliny w ogrodku, załatwia sprawunki w sklepie, lub je obiad... i bezustannie pisze.

„Ja nigdy dokładnie nie wiem, kiedy nie piszę” — wyznaje amerykański humorysta, James Thurber. „Niekiedy zbliża się do mnie moja żona w czasie jakiegoś przyjęcia i mówi: „Do diabła Thurber, przestań pisać! I co dziwniejsze, zwykle w takiej chwili przerywam pisanie w połowie jakiegoś zdania”.

Autor powieści kryminalnych, twórca popularnej postaci komisarza Maigret, Belg Georges Simenon nie „cacka się” ani trochę ze swymi książkami. Na korektę rękopisu zużywa tylko trzy dni. Korekta ta polega na tym, że autor usuwa z utworu najmniejszy ślad „literatury”, każde słowo które przeszmuglowało się dla efektu. Simenon radzi kolegom po piórze: „Jeśli sobie powiadasz, że oto napisałeś piękne zdanie — wyrzuć je!”

BOY MÓWIŁ, że ma zwyczaj pierwszą re-dakcję robić byle jak, tak szybko, jak pióro zdąży, bo inaczej — to go nudzi, dopiero w drugiej redakcji gruntownie stylowo poprawia. Poprawianie na tym samym skrypcie nuży go, traci wtedy świadomość polszczyzny i wiele rzeczy puszcza, a w korekcie niepodobna już radykalnie zmieniać. Natomiast przepisując — jak mówił „ręka dęba staje” przed powtórny napisaniem wadliwego zwrotu.

Jasełka w Gross- Rosen



Ten obraz Władysława Siwka przedstawia „Wigilię w Oświęcimiu 1940”. Wspomnienia Wojciecha Dzieduszyckiego dotyczą też obozowej wigili — w obozie Gross-Rosen w roku 1944.

Spróbuję te dni wyłowić z pamięci... Dwadzieścia dziewięć lat — szmat czasu — zacierają się twarze, nazwiska, zdarzenia... Zwłaszcza, iż niechętnie powracam do owych „historii spoza drutów”... Ale to była historia zupełnie wyjątkowa, tak nie mająca nic wspólnego ani z obozową makabrą, ani z codzienną mizérią więźniów, iż trudno uwierzyć, że coś takiego mogło się naprawdę wydarzyć... I to w dodatku w Gross-Rosen, w jednym z najokrutniejszych obozów koncentracyjnych III Rzeszy, w Gross-Rosen, o którym się mówiło, że jest to obóz, którego przeżyć niepodobna.

BYŁ to już grudzień 1944 roku. Od wielu tygodni odczuwało się w obozie „odwilż postalingradzką”, przerywaną od czasu do czasu atakami wściekłości służby obozowej SS...

W któryś grudniowy dzień rozeszła się po obozie wiadomość: Boże Narodzenie będzie dniem wolnym od pracy, dostaniemy po dwójnie porcje chleba i mamy zagrać polskie jasełka...

Bujda czy prawda? „Odwilż” czy prowokacja? Może chcą wypaść obozowych działaczy... a może to tylko jeszcze jedna obozowa plotka? Ale po wieczornym apelu plotka stała się ciałem: W bloku nr 3, w którym gnieździła się obozowa orkiestra, zjawił się „sam Rapport-fuehrer Eschner w towarzystwie Lageraelteste Sistemicha.

— Orkiestra!
Przez skłębione w beładnym biegu stolki dostaliśmy się przed oblicze rozdawcy kopniaków, uśmiechów i obozowych śmierci. Tym razem był wytworny, ironicznie uśmiechnięty, łaskawy:

— Możecie zrobić sobie *Weihnachtsfestvorstellung*. Ale to musi być coś dobrego! Każda narodowość da osobne przedstawienie, ale wasze to musi być coś naprawdę dobrego! Sam Schutzhaftlagerfuehrer przyjdzie to zobaczyć!

Schutzhaftlagerfuehrer — to już prawie najwyższy bóg na SS-mańskim obozowym Olimpie. Nad nim był tylko Lagerkommandant, ale tego nigdy jeszcze nie widzieliśmy. Natomiast Schutzhaftlagerfuehrer Ernstberger zjawiał się w obozie w najmniej oczekiwanych momentach, o północy wpadał na bloki pijaniusiutki i zarządzał „gimnastykę”. Czasem w przystępie dobrego humoru wyciągał z głębokiego snu obozową orkiestrę i kazał w kancie grać do rana — na przemian niemieckie szlagiery i wyjątki z oper — bo Herr Schutzhaftlagerfuehrer był melomanem.

Jeden z jego ulubionych „kawałków” to aria Cavaradossiego z *Toski*... *Lucevan le stelle* — śpiewałem po kilka razy na jedno takie nocne posiedzenie... Ta nieszczęsna aria uratowała mi życie: stałem przed krematorium, czekając w grupie skazanych przez głupi przypadek na śmiertelną szprycę. Nagle zjawił się Ernstberger:

— Opersaenger (tak nazywali mnie wszyscy SS-mani w obozie), Opersaenger, was machts du hier?
— Idzie na szprycę — wyjaśnił Blockaelteste.

— Oh! Dass kommt nicht in Frage! Kto mi będzie *Tosce* śpiewał? Raus na blok!

I tak przedśmiertna aria Cavaradossiego uratowała mi życie.

— Alsooo — ciągnie uśmiechnięty Rapportfuehrer — to musi być

coś naprawdę dobrego! Próby od jutra!

— Próby? Kiedy?

— Po pracy rozumie się! Du Schweinskerl!

A niech to szlag trafi! Jeszcze jedna udręka. Nie dość uczenia się idiotycznych piosenek w rytmie kłapiących drewniaków, codziennego wygrywania głupich marszy „na bramie”, wycia bezmyślnych szlagierów w kancie w jedynych chwilach odpoczynku — po apelu wieczornym? Teraz jeszcze próby!

Nagle z kąta — głos wiecznie zaspianego poety Andrzeja Wydrzyńskiego, który prawem kaduka przypętał się na sztabie orkiestry i tak już pozostał „na waleta”:

— A wiecie... A może by tak im pokazać co potrafimy? Tunku-Ratunku! Robimy jasełka?

— Robimy!

Wyciągamy więc Zdziszka Nowackiego — młodzieńczego muzyka, narwanego rzykanta i Leona Waymana — kochanego blokowego — zapaleńca i biegniemy na *Webera* do Romana Niewiarowicza. A potem już nocne rodaków rozmowy — już sztab działa: dr Stanisław Jagielski, Blockarzt Nr 6, polscy blokowi Witek i Józef Kowalski i najmłodszy z obozowych aktywistów Mietek Mołdawa z Łodzi.

— Robimy — mówi Roman Niewiarowicz. — Robimy po nocach! Czy z tego nie wyniknie szubieniczka na placu — tego ja nie wiem. Bo jasełka muszą być polskie! Muszą przynieść do obozu kawał prawdziwej Polski!

— Dobra, Romeczku, robimy! Przecież i tak wszyscy, jak tu siedzimy jesteśmy „listowiczami” skazanymi już raz. Raz kozie śmierć! Więc do roboty! Żeby tylko nie pomieszał, kto co robił... Niektóre nazwiska już wyleciały z pamięci, zostały tylko imiona — tak jak wołaliśmy na siebie w obozie.

Andrzej Wydrzyński przez jedną noc napisał tekst naszych jasełek. Pisał w ustępie bloku 21, aby — jak sam twierdził — uniemożliwić potomnym wmurowanie tablicy pamiątkowej...

Nowacki instrumentował pastorałki i koledy na orkiestrę (nie było jaka to była orkiestra — 40 świetnych instrumentalistów z koncertmistrzem warszawskiej orkiestry kameralnej Stanisławem Włodarskim na czele) i chór. Chór ćwiczyłem w pocie czoła w latrynie bloku 3-go, bo tam było najspokojniej. Rysiek Kiss, wariat cudowny, malarz z bożej łaski, „organizował” z *Beustelle* dyktę, farby i klej i malował z „krzywonosym” Kordaszewskim i Frankiem Wierzbickim dekoracje.

W *Kommando Tischlerei* budowano prawdziwą scenę. Zdzisław Lewandowski i Węgorzewski szybko

wali ciupagi, łańcuchy i tajemniczą szynę, która potem miała się odezwać głosem dzwonu. Voit i Le-bida „organizowali” w *Wetterstelle* reflektory i opornice do „efektów świetlnych”, Leon Wayman zbierał w *Bekleidungskammer* prześcieradła SS-mańskie na kurtynę i polował na możliwie całe koszule i kalety (takie długie, ze sznurkami), malował je z krawcem Wiśniewskim w parzenicy i przysrajał wstawkami. Gacie musiały być reprezentatywne, bo w nich to Leon z Szostakiem, Guzikiem i jedynym prawdziwym góralcem z Zakopanego J. Muchą uczył się „hipkać” zbójnickiego i krzesanego. Bo jasełka nasze miały się rozgrywać w chacie góralskiej. Syna gady wzięli do obozu i w dzień wigilii przychodził list: *Bin gesund*...

Chciałbym widzieć jakieś inne miejsce w „uszcześliwionej” przez Hitlera Europie, gdzie by można było zagrać publicznie taką scenę!

Zresztą cenzura SS-mańska czuwała! Teksty musiały być tłumaczone i przedłożone do zatwierdzenia. Tłumaczył je „odpowiednio” dr Jagielski. Na szczęście żaden z obozowych opiekunów nie mówił tak dobrze po polsku, aby chwycić nianuszę tego tłumaczenia...

Roman Niewiarowicz reżyserował. Był duszą całego przedsięwzięcia. Wiedział dobrze na co się narażał. Eschner zrobił niedwuznaczny ruch ręką wokół szyi — „jeśli tylko coś będzie *politischverdächtig*. Ale Roman niczego nie zacięwał, nie tuszował — przeciwnie, podkreślał każdy akcent narodowy, wszystko co mogło przypomnieć tej najdziwniejszej widowni na świecie — ojczyznę, do której tak tęsknił. Po całodziennych harówce w *Webera* dwoił się wieczorami, troił i dziesięciokrotnił, aby ze zmordowanych pracą w kamieniołomach wydobyc maksimum prawdy i ekspresji artystycznej.

Kiedy w czasie tych wieczornych prób wpadał na inspekcję któryś z SS-manów lub „nastawników” obozowych, zaraz jak diabełki z pudelka wyskakiwali „górale” tańcząc zbójnickiego, który oficjalnie nazywał się *Räubertanz* — co znakomicie uspokajało cenzurę. A potem zza kulis wyłaniała się postać głupiego Wojtusia, góralczyka, śpiewającego *Kačka pstra*, albo *Malenka Pon Jezuuuuu*... Ileż to razy śpiewałem mi w pięć ni w dziewięć te pastorałki, kiedy tylko we drzwiach pokazała się głowa jednego z „opiekunów”. Najniebezpieczniejszy był Blockfuehrer Drozdowski — rozumiał dobrze po polsku.

W tydzień przed świętami uciekli jakis *Haefling*!

Staliśmy całą noc na mrozie na oglupiającym, morderczym apelu. *Weinachtsfestvorstellung* odwołano. A niechby tam. Niechby cała robota poszła na marne. Było udało mu się zwać!

Na drugi dzień przywieźli biedaka. Zastrzelili go w ucieczce.

Przed nieszcześliwym, powieszonym trupem (uciekierem) musi wisieć — co to szkodzi, że go przedtem zastrzelono! Porządek musi

być! defilował cały obóz przy dźwiękach orkiestry... *Kornblumenblau... Ich bin wieder da!* — kołysał się triumfujący napis na piersi biednego chłopca.

Sprawiedliwości stało się zadość. Zakaz grania jasełek cofnięto.

W dzień Bożego Narodzenia rano Lageraelteste Sistemich — wytworny zwyrodnialec — skopał do nieprzytomności Andrzeja Wydrzyńskiego. Wieczorem Andrzej recytował swój wiersz a Sistemich płakał, choć nie rozumiał słowa.

Zaczęło się hejnałem mariackim... Gdy urwał się niedospiewanym tonem — zapłonęło światło. Na scenie w zasłuchanych pozach, jak postacie z *Wesela* Wyspiańskiego, stoją górale i nasłuchują, czekając czy nie odezwie się jeszcze raz głos dalekiej ojczyzny...

Od wschodu idzie gromot i błyskawice niby jutrznia!

I rozdzwonił się dzwon... Zyg-muntowy dzwon... Ożyły postacie.

Za kulisami stał Roman Niewiarowicz i rzywał jak bób!

Przez scenę przeszli kolednicy i harnasie, Stasiak z harmonią i Różycki i felczer obozowy śpiewający *Świeci gwiazdka złota* przy akompaniamencie orkiestry i skrzypce Staszka Włodarskiego w *Kujawiu*ku Winiawskiego. Bronek Misztal grał na flecie, Janek Piegza na klawierze, Romański na wolonceli, Nowakowski w „obligacie” na skrzypcach. Naiwne pastorałki zbierały oklaski i wtedy Kazimierz Dębowski, niezapomniany Kazio, który nam umiał wieczory swoimi

ariami z *Księżniczki czardasa* — zaczął czytać list. Zaczął tak wzruszająco, że płakaliśmy wszyscy.

Nagle zgąsła scena, w kręgu światła stał w obozowym pasiaku Wydrzyński i mówił swój wiersz: *...gdzieś na Żurawiej, albo Cichej tej nocy, gdzieś, na jakimś piętrze jest puste miejsce, pusty talerz i małe oszukane serce...*

A potem jeszcze śpiewałem: *Nie płacz dziewczyno ma daleka, już nieadługo wrócę, wrócę — więc spokojnie na mnie, czekaj!...* raz tylko w życiu tak się śpiewa, gdy się nie wie, czy „wrócę” i gdy się wie, że i Ty Miła jesteś gdzieś równie samotna.

I wtedy buchnęła wielką, olbrzymią falą koleda: *Bóg się rodzi, moc truchleje...*

Moc truchleje!

I zesłaliśmy z tą koledą w płaczący tłum kolegów i z nimi do tych najniebezpieczniejszych w obozowym lazarecie...

(*Haefling* nr 78-21)

ANDRZEJ WYDRZYŃSKI

* * *

...Dziś już rozumiem Twe obawy, to drugie Święta tak daleko, a tamte, które przemienię, już teraz bola pod powieką.

Obrazy z tamtych Świąt ubiegłych na ekran powiek pamięć rzuci, jednak do wielu chwil minionych brak mi — powiedzmy, prosto — klucza...

I po coś więcej przypominać i leż wyschniętych szkieł w mroku, samotny jestem i zmęczony, koledy płyną zbyt wysoko.

Na malej ziemi mali ludzie czekają i tęsknoty szepczą, nie wiedzą, czy historia znówu podkutym butem ich nie zdepcze.

Ostatnia strofa w mroku tonie — Już wiem, że było, być musiało — ze dziś też masz opiatek w dłoni, że tak jak w piosence tej się stało.

Fragmenty „Legendy tamtej Wigilii” — cytowane przez dr Stanisława Jagielskiego we „Wspomnieniach lekarza obozowego” — „SLAVUS SALTANS” Warszawa 1946 LINW

ŚWIĄTECZNY KONKURS DLA CZYTELNIKÓW P.



Zapraszamy do świątecznej lektury. Wybraliśmy pięć fragmentów literackich, opisujących wieczór wigilijny. Pochodzą one z utworów zaliczanych do klasyki literatury światowej.

KONKURS polega na tym, aby podać autorów i tytuły utworów literackich, z których pochodzą poszczególne fragmenty.

Odpowiedzi prosimy wpisać na zamieszczonym poniżej kuponie. Wypełniony kupon nalepiony na kartce pocztowej prosimy przesłać w terminie do niedzieli, 6 stycznia 1974, na adres naszej redakcji: „Przekrój”, 31—110 Kraków, skr. poczt. 560. Na kartce prosimy umieścić dopisek — Z jakich to książek?

Wśród Czytelników, którzy nadesłają prawidłowe odpowiedzi zostanie rozlosowanych

25 NAGRÓD

1. telewizor
- 2—3. dwa rowery składane
- 4—7. komplety kolorowej bielizny pościelowej
- 8—10. płyty
- 11—14. garnki żaroodporne
- 15—17. patelnie teflonowe
- 18—20. ceramika użytkowa
- 21—25. bony książkowe (po 100 zł)

1

Wreszcie wniesiono potrawy i odmówiono modlitwę. Potem nastąpiła pauza, w czasie której wszyscy wstrzymali oddech w piersiach, a ms. Cratchit, przyjrawszy się okiem doświadczonego ostrzu noża, zabrała się do podzielenia gęsi na kawałki. Gdy dokonała dzieła i z wnętrza gęsi wyjęła ponętne nadzienie, zabrzmiał dokoła stołu radosny szmer, a nawet Tiny Tim, podniecony przez dwoje małych Cratchitów, uderzył trzonkiem noża o stół i zawołał słabym głosem:

— Wiwat!

Wreszcie skończyli ucztę, posprzątano ze stołu i dorzucono węgla do ognia na kominku. Podyczone płomienie zajaśniały jeszcze weselej, niż przedtem...

Teraz skosztowano przygotowanego przez Boba grogu i okazał się, że jest znakomity.

Z kolei ustawiono na stole jabłka i pomarańcze, a w ogień rzucano kilka garści kasztanów. Następnie cała rodzina Cratchitów zasiadła przed kominkiem, jak wyraził się Bob Cratchit — wkoło chociaż było to właściwie tylko półkoło: Bob pośrodku, a obok niego cały zapas szklanek rodziny — dwie szklanceczki i garnuszek bez uszka.

Naczynia te jednak były napełnione gorącym grogiem, który wyglądał w nich równie dobrze jak gdyby to były złote puchary. Bob rozlewał ten napój z promieniejącym wzrokiem, podczas gdy w ogniu podskakiwały i strzelały kasztany. Potem Bob wniósł toast:

— Daj nam Boże, moi drodzy, przepeścić szczęśliwie święta!

2

W wigilię Bożego Narodzenia lało jak z cebra i dał silny wicher. Nie można było jechać saniami i Krystyna musiała pozostać w domu, gdy Erlend i reszta mieszkańców dworu udali się na pasterkę do kościoła w Birgisi...

W świetlicy na stole paliły się świece. Walaly się na nim resztki wierzery, misy, na dnie których pozostała kasza; ości ryb i napoczęte bochny chleba pływały w rozlany piwie. Dziewki, które musiały pozostać w domu, ułożyły się już do snu na podłodze na słomie. Krystyna została sama we dworze z nimi i z wiekowym starcem, imieniem Aan...

W domu na Jörund podłoga była dziś grubo wysłana trzciną, gdyż wszyscy mieszkający dworu przez trzy świąteczne noce sypiali razem w izbie. Zanim odjeżdżali do kościoła, uprzątno resztki wierzery, matka i dziewczki nakrywały stół, jak umiały najpiękniej, stawiały na nim masło i różnorakie sery, stopy cienko pokrajanego jasnego chleba, świecąca słoninę i najdelikatniejsze, na powietrzu suszone mięso owiec. Srebrne kubki i rogi napełnione miodem błyszczwały na stole. A ojciec sam wtaczał na ławę beczkę z piwem.

3

Dziewczynka wyciągnęła przed siebie nóżki, aby je rozgrzać także — a tu płomień zagasił. Piec znikł — a ona siedziała z niedopałkiem siarnika w dłoni.

Zapaliła nowy, palił się i błyszczał, a gdzie cień padł na ścianę, stała się ona przejrzysta jak muślin: ujrzano wnętrze pokoju, gdzie stał stół przykryty białym, błyszczącym obrusem, nakryty piękna porcelana, a na półmisku smacznie dymiąca pieczona gęś, nadziana śliwkami i jabłkami; a co jeszcze było wspanialsze, gęś zeskoczyła z półmiska i zaczęła się czołgać po podłodze, z widelcem i nożem wbitym w grzbiet; doczołgała się aż do biednej dziewczynki; aż tu nagle zgąsta zapalka i widać było tylko nieprzejrystą, zimną ścianę.

Zapaliła nowy siarnik. I oto siedziała pod najpiękniejszą choinką; była ona jeszcze wspanialsza i piękniej ubrana niż choinka u bogatego kupca, którą ujrziała przez szklane drzwi podczas ostatnich świąt; tysiące świeczek płonęło na zielonych gałęziach, a kolorowe obrazy, takie, jakie zdobiły okna sklepów spodzierały ku niej. Dziewczynka wyciągnęła do nich obie rączki — ale tu zgąsta zapalka; mnóstwo światełek choinki wzniosło się ku gorze, coraz wyżej i wyżej, i oto ujrzano ona, że były to tylko jasne gwiazdy, a jedna z nich spadła właśnie i zakreśliła na niebie długą, błyszczącą ślad.

Przypominamy:

termin nadsyłania kuponów — 6 stycznia 1974 (decyduje data stempla pocztowego).

Życzymy przyjemnej konkursowej lektury!

4

Najpierw był buraczany kwas, gotowany na grzybach z ziemniakami całymi, a potem przyszły śledzie w mące obtaczane i smażone w oleju konopnym, później zaś pszenne kluski z makiem, a potem szła kapusta z grzybami, olejem również omaszczona, a na ostatek podała Jagusia przysmak prawdziwy, bo racuszki z gryczanej mąki, z miodem zatarte i w makowym oleju uprzone, a przegrzali to wszystko prostym chlebem, bo placka ni strucli, że z mlekiem i masłem były, nie godziło się jeść dnia tego.

Jedli długo i mało kiedy, jeśli tam które rzekło jakie słowo, więc ino skrzybot łyżek o wręby się rozlegał i mlaskanie.

Cicho się w izbie stało, ciepło, serdecznie, nabożnie i tak uroczyste, jakby między nimi leżało to święte Dzieciątko Jezus.

5

Potem nadszedł wreszcie wieczór 23 grudnia, a wraz z nim Gwiazdka w sali domu na Fischergrube, Gwiazdka w najbliższym kółku, będąca tylko początkiem, wstępem, przygrzywką; wieczór wigilijny należał bowiem do konsulowej, która zapraszała całą rodzinę tak że przed wieczorem dwudziestego czwartego zebrano się w pokoju pejzażowym całe czwartkowe towarzystwo a prócz tego jeszcze Jürgen Kröger z Wismaru oraz Teresa Weichbrodt z madame Kethelsen...

Cała komnata napełniona zapachem osmalonych gałęzi choinki, błyszczała i lśniła od niezliczonych małych płomieni, a błękit tapet z białymi posagami bóstw jeszcze bardziej rozjaśniał wielką salę. Płomyki świec w głębi między ciemnoczerwonymi zasłonami u okien, pokrywające potężne, wznoszące się aż do sufitu drzewo, przybrane w srebro i białe lilie, z połyskującym u syczytu aniołem i małą stajenką u stóp, migotały w tej powodzi światła jak dalekie gwiazdy. Na białym nakrytym stole, bardzo długim, ciągnącym się od okien prawie aż do drzwi i obładowanym podarkami, ustawiony był szereg małych obwieńczonych cukierkami drzewek, również rozświetlonych światłem woskowych świec. Paliły się też gazowe kinkiety na ścianach i płonęły grube świece w złotych kandelabrach we wszystkich czterech rogach sali. Duże przedmioty podarki, które nie mieściły się na stole, stały na podłodze. Mniejsze stoliki, również białe nakryte i ozdobione płonącymi drzewkami, stały po obu stronach drzwi: była to gwiazdka dla służby i biednych.

KUPON KONKURSU — Z JAKICH TO KSIĄŻEK?

Prosimy wpisać autorów i tytuły książek, z których pochodzą kolejne fragmenty:

1.
2.
3.
4.
5.

IMIĘ I NAZWISKO

ADRES

DŁUGI POSTÓJ pod PARK AVENUE

Miasto.
Budynek Welen Transoceanicznych

W budynku Welen Transoceanicznych (towarzystwo, które nadało nazwę imponującemu gmachowi dawno wyemigrowało na południe, gdzie siła robocza jest tańsza, ale nazwa pozostała wyryta ponad majestatycznym wejściem), Abe Rosen notuje najkorzystniejsze interesy swego życia. Gapię opuszczają ulicę i zbierają się przed jego kioskiem. Zapas czekolady i cukierków szybko topnieje. Sięga więc do rezerw. W ciągu pół godziny wyprzedaje wszystkie papierosy, potem zaczyna zniknąć cygara, likwiduje też wszystkie gazety i magazyny. Nie sposób już przecisnąć się przez hol, ilość gapiów wciąż rośnie. Pała, jedzą cukierki, czytają gazety, rozpowszechniają niezliczone plotki na temat napadu na metro.

Najróżniejsze pogłoski docierają do uszu Abe Rosena.

— To sprawa Castro. Ekipa komunistów kubańskich... Policjanci gonili ich w tunelu, więc napadli na pociąg...

— Podobno mają odciąć dopływ powietrza do tunelu, wie pan, kompresory. Jak zaczną się dusić, wyjdą z nory...

— Niech pan zgadnie, jak się stamtąd wydostaną? Ściekami. Mają mapę ścieków i dokładnie wiedzą w jakim miejscu wielki kolektor łączy się z metrem.

— Żądają miliona dolarów za każdego pasażera. Mają dwudziestu zakładników. Miasto dyskutuje, żeby obniżyć okup na pół miliona od głowy, co i tak uważam za przesadę...

— Burmistrz? Nie trzeba na niego liczyć. Interesują go tylko piękne dzielnice. Gdyby się to działo na rogu Sto dwudziestej piątej ulicy i Lenox Avenue...

— Tak, tak, tak — powtarza nieustannie Abe Rosen. Nie wierzy w żaden z komentarzy, ale nie spiera się z żadnym. Dochodzi wręcz i całkowicie wyprzedził swoje zapasy. Siedzi na starym stołku, beczynny i ospały. Poza wielkimi drzwiami holu formuje się obrzyni tłum. Ludzie czekają spokojnie nie wiedząc czego — ciała na noszach, szczerku broni, człowieka zalanego krwią.

Abe Rosen nagle przypomina sobie Artisa Jamesa, który powrócił na stanowisko właśnie w chwili, gdy wszystko się zaczęło. Czy Artisiowi grozi niebezpieczeństwo? Nie — uspokaja się. W akcji są setki policjantów i Artis pilnuje pewnie automatów z gumą do zucia.

Abe Rosen machinalnie obserwuje mężczyznę, który wysiada z windy i przystaje zdumiony atmosferą panującą w holu. Podchodzi do kiosku.

— Co się tu dzieje?

Co się dzieje? Są właśnie na miejscu zbrodni wieku, a ten przeklęty goj nawet nie wie, co się dzieje.

— A co ma być? Defilada, czy coś w tym rodzaju — odpowiada wzruszając ramionami.

Clive Prescott

Porucznik Prescott, najlepszy koszykarz, jakiego znał mały uniwersytet, gdzie odbył studia, nie zabłysnął jako zawodowiec. Odbył wprawdzie próbny staż, ale odsunięto go jeszcze przed rozpoczęciem sezonu.

Jest to człowiek czynu i biurowe zajęcia w sztabie Transit Police niezbyt mu odpowiadają. Przyszedł jednak musi, że jest to bardzo uprzywilejowane stanowisko, a dla Czarnego wyróżnienie. Ostatnimi czasy zastanawiał się, czy nie znaleźć innego, nawet ryzykując niższe zarobki, wie jednak, że to beznadziejne — musi pamiętać o żonie, dwojce dzieci i emeryturze.

Koło godziny 14 w centrum Nowego Jorku, między stacją 28 ulicy a Grand Central, czterech uzbrojonych gangsterów opanowało pociąg metra. Skład nosi nazwę Pelham 123.

Napastnikami są: RYDER, szef grupy, LONGMAN, były maszynista metra, i dwaj płatni mordercy, WELCOME i STEEVER.

Obezwładnili maszynistę i kontrolera, wyłączyli prąd na linii, opróżnili wagony z pasażerów, zatrzymując jednak 16 zakładników i maszynistę.

Niebawem szef gangsterów, Ryder, przez radio w kabinie maszynisty połączył się z Ośrodkiem Dyspozycyjnym metra i policją, by podyktować swoje warunki. Głównym jest dostarczenie w przeciągu najbliższej godziny miliona dolarów okupu.

W Nowym Jorku zarządzone wielką mobilizację policji, zarówno państwowej jak wewnętrznej policji metra. Z rąk gangsterów zginął dyspozytor metra, Dolowicz, który próbował dotrzeć do porwanego wagonu.

Siedząc przy pulpicie szefa linii obserwuje świetlne sygnały i rośnie w nim litość dla siebie samego i więźniów z pociągu Pelham 123. Powinien był mieć dziesięć centymetrów więcej i lepiej grać w kosza; powinien był umieć przekonać szefa gangsterów, by przyznał im dodatkowy termin. Pozostaje już tylko dwaście minut, a pieniądze nie są nawet w drodze. Nigdy nie dostarczą okupu na czas. A nie wątpi, że bandyci dotrzymają gróźb.

W drugim końcu sali Corell młota się, krzyczy. Zmienia trasy pociągów metra, rozmawia z maszynistami i pracownikami Wieży, wykrykuje rozkazy dyspozytorom linii autobusowych, czuje się dobrze w działaniu. Zadowolony z siebie facet, myśli z gorzkością Prescott, lubi swoją pracę i cieszy się, przezwyciężając napotykane trudności.

Prescott nagle wstaje, obchodzi trzy razy pulpity, po czym schodzi i wyzywa Pelham 123, który stoi na stacji Dwudziestej osmej ulicy. Co to chodzi? — odpowiada natychmiast komisarz Daniels.

— Chciałem wiedzieć, czy pieniądze są już w drodze.

— Jeszcze nie. Zawiadomię.

— Doskonale. Pieniądze są w drodze. Poinformuję o tym Pelham 123. Skonczono.

— Mówiłem, że jeszcze nie, do licha!

— Tak, panie komisarz — powtarza Prescott — i to już kwestia krótkiego czasu, żeby dotarli do celu...

— Niechże pan słucha... — złości się komisarz — powiedziałem panu, że okup...

Nagle milknie. Nareszcie ten stary cap przypomniał sobie, że Pelham 123 może słyszeć moje słowa, ale nie jego, myśli z ulgą Prescott. Wyzywa Pelham 123.

— Tu porucznik Prescott. Pieniądze są w drodze.

— Tak.

Głos szefa gangsterów jest obojętny i Prescott nie może się zorientować, czy ten słyszał jego rozmowę z Danielsem. Nie ma to zresztą wielkiego znaczenia.

— Staramy się jak możemy —

nego wagonu. W ślad za nim wysłano agenta Transit Police, Artisa Jamesa. Znajduje się on w pobliżu okupowanego wagonu, ma kontakt radiowy z centralą, ale jest bezsilny.

Po mieście wieść o napadzie rozeszła się błyskawicznie. Informację podały TV i radio. W okolicach Avenue zebrał się stu tysięcy tłum.

Równocześnie w Gracie Mansion, w rezydencji burmistrza, akurat chorego na ciężką gripę, trwają narady, czy zapłacić okup. Kieruje nimi zastępca burmistrza, Murray Lasalle. Zapada po-

dejmuje Prescott — ale przy takim ruchu nie sposób dotrzeć do stacji w jedenaście minut. Słyszysz mnie pan?

— Dziesięć.

— To niemożliwe. Robimy wszystko, co w naszej mocy, ale warunki nie pozwalają nam działać szybciej. Czy możecie nam przyznać dziesięć dodatkowych minut?

— Nie.

Uświadamia sobie swój błagalny ton i wie, że zaraz się wścieknie.

— Potrzeba nam trochę więcej czasu. Dajcie nam szansę.

— Nie. Ostateczny termin to trzecia trzynastka. — Głos jest nieustępliwy, kategoriyczny. Prescott jednak nie rezygnuje.

— Dobrze, nie wchodzi w rachubę, byśmy mogli doreczyć okup przed trzecią trzynastką. Ale przypuśćmy, że zdołamy go dowieźć na stację... Czy byłibyście skłonni uznać za upływ terminu godzinę przybycia pieniędzy na stację? Czy możecie przyznać nam chociaż to?

Cisza się przedłuża. Prescott już zamierza powtórzyć prośbę, kiedy dochodzi go głos szefa:

— Dobrze, zgadzam się. Ale już żadnych ustępstw. Zrozumiano?

— Jeśli nie ma pan nic do dodania, przekaże pańską zgodę.

— Nic więcej. Proszę mnie wezwać, gdy nadejdą pieniądze. Udzielę nowych instrukcji. Skonczono.

Udało się, myśli Prescott. Zyskałem kilka minut. Szkoda tylko, że to się na nic nie przyda. Nawet uwzględniając dodatkowy czas, pieniądze nigdy nie nadejdą na stację na trzecią trzynastkę.

Artis James

Agent Transit Police Artis James źle się czuje, moralnie i fizycznie. Siedzi skulony za słupem

zbytwna decyzja i pozostaje już tylko dostarczenie kwoty z banku, mieszczącego się na końcu miasta. Policja na całą akcję ma ledwie dwadzieścia parę minut. Porucznik Prescott z Transit Police, który jest łącznikiem między gangsterami, zdołał wprawdzie uzyskać od nich pewne ustępstwo: godzą się przyjąć chwilę przybycia pieniędzy na stację, nie zaś ich doreczenie, za upływ terminu. Ale i tak rzecz wydaje się niemożliwa do zrealizowania. A każda minuta spóźnienia kosztować będzie życie jednego zakładnika.

jakiś dwadzieścia metrów od napadniętego wagonu: kryjówka jest przyzwolta, ale nie może wykonać najmniejszego ruchu, boją go napięte mięśnie. Zaczyna też mieć halucynacje. Tunel jest ciemny, a przeciągi powietrza niosą najróżniejsze szmery i szepty, które wyobraźnia powiększa.

Ale nie wszystkie są owocem wyobraźni. Wie, że w tunelu za nim, znajdują się policjanci — dwudziestu, trzydziestu, pięćdziesięciu, z karabinami, pistoletami maszynowymi skierowanymi na wagon, czyli w jego stronę. Nie jest zresztą pewien, czy ostrzeżono ich o jego obecności; takie szczegóły zwykle umykają przełożonym. Przysłucha się więc do słupa.

Pod prawą dłoń czuje podłużny kształt paczki papierosów, którą kupił u Abe Rosena, i czuje nagle nieodpartą chęć zapalenia papierosa. Myśli, że jeśli sprawy przybiorą zły obrót, nigdy już nie zapali papierosa. Śmierć znaczyłby dla niego nie tylko koniec życia, ale i żartowanie z kolegami. Perspektywa jest tak bolesna, że odpycha ją nagłym gestem i nieruchomieje, uświadamiając sobie, że wystawił rękę. Nic się nie wydarzyło, ale jest wstrząśnięty. Czemu nie pomaga mu opuścić tego *no man's land*. Wszyscy o nim zapomnieli. Wszyscy gwiżdżą na Czarnego.

Ale gdyby był biały, jego twarz i ręce odcinałyby się w ciemności. W końcu to może błogosławieństwo, że jest czarny. Uśmiecha się na tę myśl, ale zaraz zamyka usta: „Na Boga, moje zęby! Moje zęby są olśniewająco białe!”

Burmistrz

Z piaskiem opon limuzyna prefekta opuszcza rezydencję burmistrza. Jeden ze strażników ledwie ma czas uskokczyć z drogi i wpada w grupę rododendronów. Prefekt siedzi za kierownicą, Murray Lasalle w środku, obok burmistrza otulonego kocem. W chwili, gdy samochód wjeżdża na East End

Avenue, burmistrz głośno kicha. — Wziąwszy chusteczki — mówi głośno Lasalle. — Chcesz nas wszystkich zarazić tą cholerną grypą?

Burmistrz wylera nos w płed. — To szaleństwo, Murray. — Nigdy nie robie szaleństw — oświadcza chłodno Lasalle. — Każde moje działanie ma poważne racje. — Co do zimnego i wilgotnego tunelu — nie szaleństwo?

— Okryj się dobitnie. — Prefekt rozmawia przez radio. — Co on robi? — pyta burmistrz Lasalle'a.

— Oznajmia o twoim przybyciu. Jedno co masz zrobić, to przez tubę powiedzieć kilka słów gangsterom, odwołując się do ich litości.

— A jeśli do mnie strzelą?

— Schronisz się za filar. Zresztą nie mają powodu do ciebie strzelać.

— Chcesz powiedzieć, że nie głoszą w Nowym Jorku? — pyta zartem burmistrz.

— Uspokój się — radzi Lasalle. — Pokażesz się, a potem wracasz do łóżka. Pamiętaj, że twoja obecność okaże się owością.

— Gdybym myślał, że to rzeczywiście może pomóc...

— Pomoże. — Zakładnikiem? — Nie — mówi Lasalle. — Twojej karierze.

Dowódca obwodu

Tłum oglądany z posterunku dowództwa, mieszczącego się na parkingu w pobliżu południowo-wschodniego wejścia na stację Dwudziestej ósmej ulicy, podobny jest do gigantycznej magmy komórek. Mimo przyływów i odpływów pozostaje spójną całością.

Komendant obwodu nieustannie spogląda na zegarek, czasami otwarcie, czasami ukradkiem. Minuty płyną.

— Trzecia trzy — szepce dowódca obwodu. — Zostało nam dziesięć minut, a wciąż jesteśmy w stadium przygotowań.

— Jeśli zabiją jakiegoś zakładnika, uważam, że należy tam wysłać dużą grupę i zlikwidować ich — wtrąca szef Transit Police.

— Muszę słuchać rozkazów, czy mi się podobają, czy nie — mówi dowódca obwodu. — Jeśli zabiją zakładnika, zostanie ich jeszcze szesnastu. Pan by podjął takie ryzyko?

— Dotychczas nikt nie pozwolił mi podjąć żadnej decyzji — odpowiada szef Transit Police.

Majorowi dowódcemu obwodem melduje się kapitan. Twarz ma purpurową.

— Panie majorze, co robimy? — pyta, a w jego głosie przebiega złość.

— Czekamy. Może pan odejść — mówi znużonym tonem.

Kapitan rzuca przełożonemu pełne licznawski spojrzenie i odchodzi.

— Trudno mieć do niego pretensje — mówi dowódca. — Nie jest bardzo mądry, ale to człowiek. Niestety, w takiej chwili nie ludzi potrzeba, ale negocjatorów.

— Majorze, prefekt policji! — woła sierżant siedzący w samochodzie przy radiu.

Dowódca sięga po słuchawkę.

— Co się dzieje? — pyta prefekt.

— Czekamy na pieniądze. Jak dotąd nie opuściły banku. Od nich wszystko zależy. Chyba, że zmieniono rozkazy...

— Nie ma zmian — odpowiada zdecydowanym głosem prefekt. — Jedziemy na miejsce, towarzyszy mi burmistrz.

— Doskonale — woła major. — Zatrzymam tłum na jego beneficj.

— Gdy będzie na miejscu, burmistrz zwróci się z apelem do gangsterów.

— Jeszcze coś, panie prefecie? — pyta major.

— To wszystko. Charlie — mówi prefekt.

Bank Federalny

Prawdopodobnie nigdy, w ciągu sześćdziesięciu lat istnienia Banku Federalnego, prezes innego wielkiego banku nie zadzwonił do prezesa Banku Federalnego w sprawie tak nędznej kwoty jak milion dolarów.

Normalnie ładnia gotówki docierają klasyczną drogą. Wysyła się zwykły druk, tyle, że podpisany przez jednego z dyrektorów. Bank Federalny przelicza wówczas sumę, umiesz-

cza ją w płóciennym worku i za pokwitowaniem przekazuje do działu wypłat. Pieniądze przewozi się pancernymi samochodami przystanymi przez współpracujących bank. Bank Federalny określany jest jako bank banków. Spełnia funkcje autonomicznego organizmu, który kontroluje masę monetarną, aby zrównoważyć ekonomię narodową. Z grubszą biorąc, zwiększa obieg pieniężny w okresach recesji lub bezrobocia, a zmniejsza w okresie prosperity i inflacji.

Trudno tam kogoś zadziwić. Niemniej po telefonie dyrektora Gotham National Trust zanotowano pewne wzburzenie. Głównie z powodu instrukcji, dotyczącej przygotowania pieniędzy tej mizernej sumy. Bank Federalny ma sobie tylko właściwy sposób gromadzenia ogromnej ilości pieniędzy na użytek innych banków.

Metoda jest następująca: wszystkie sumy składają się z paczek po sto banknotów, związanych papierową taśmą w poprzek. Ta łączy się następnie po dziesięć i wiąże białym sznurkiem, noszą one nazwę paczki. Nowe odcinki, dostarczane z Wytwórni Papierów Wartościowych, pakowane w brązowy papier, noszą nazwę cegły.

Bank Federalny nie układa banknotów w paczkach po dwieście, nie spina ich gumkami i specjalnie nie wybiera używanych odcinków; gromadzi je jak idą.

Skoło jednak polecenie wydał sam dyrektor pomijając tradycję.

Wszystkie operacje podejmowania pieniędzy dokonywane są na drugim piętrze rezerwy Banku Federalnego pod nr 33 przy Liberty Street, w sercu centrum finansowego Nowego Jorku. Gmach jest niezdobyty twierdzą, monolitycznym blokiem o zakratowanych oknach.

Specjalne zamówienie w wysokości miliona dolarów, powierzono jednemu z urzędników wydziału wpłat i wypłat; wykonuje je w ciągu kilku minut. Przewidyując różnice w obrotach naruszenia zwyczajów Banku Federalnego, wybiera dziesięć paczek pięćdziesięciodolarowych banknotów, i pięć paczek stu dolarowych. Przecina sznurki i łączy je po dwie przy pomocy silnej gumki.

Zakończywszy pracę urzędnik wkłada banknoty do worka i wsuwa go przez okienko strażnikowi, czekającym w sąsiedniej sali. Ci zabierają worek, kierując się korytarzem w prawo. Niebawem stają przed drzwiami panczernej windy, gdzie czeka następny strażnik. Pieniądze ważą nieco ponad 10 kg. Obaj mężczyźni zjeżdżają wprost na platformę ładowania.

Policjant Wentworth

Policjanci przyzwyczajeni są do pewnej improwizacji, stosowanej niekiedy w szerokiej skali, a przecież agent Wentworth, siedząc za kierownicą kamionetki, która stoi przed platformą windy Banku Federalnego jest wstrząśnięty ilością zastosowanych środków bezpieczeństwa. Jego kolega, Albert Ricci, aż zamilkł z wrażenia, co Wentworth uważa za błogosławieństwo. Ricci jest niepoprawnym gadułą i zna jeden tylko temat — swoją liczną sycylijską rodzinę.

Wentworth przygląda się z zadowoleniem osmiu motocyklistom, którzy od czasu do czasu dodają gazu maszynom. On także od czasu do czasu naciska pedał gazu.

W głosniku rozlega się niecierpliwy głos. Pyta, czy już im przekazano pieniądze. Jest to piate wezwanie w ciągu ostatnich pięciu minut.

— Nie, panie komisarzu, ciągle czekamy.

Połączenie zostaje przerwane. Ricci potrząsa głową.

— Co za heca! Co za heca!

Przechodnie przyglądają się samochodowi, a zwłaszcza eskortie na motocyklach. Większość z nich nie przystaje, ale po drugiej stronie zebrali się mała grupa: mężczyźni z teczkami przytwardzonymi lancuszkami do przegubu. Wentworth przypuszcza, że to gónci, przenoszący setki tysięcy, a może nawet miliony dolarów w

swoich teczkach. Dwóch chłopów przystaje i usiłuje nawiązać rozmowę z motocyklistami. W odpowiedzi otrzymują tylko zimne spojrzenie policjantów.

— Ale heca! Ale heca! — wydycha Ricci.

— To jeszcze nic — mówi Wentworth. — Po drodze na każdym skrzyżowaniu jest glinka. Ale nie powtarzaj tak ciągle, co za heca!

— Myślisz, że zdążymy? — pyta Ricci spoglądając na zegarek.

— Co oni tam robią?

— Liczą pieniądze. Pomysł, ile razy trzeba poliznąć palec, żeby policzyć milion.

— Kpisz ze mnie. Muszą mieć maszynę, albo coś takiego.

— Właśnie maszynę, która liże palec. Nie, nie możemy zdążyć, nawet gdyby już w tej chwili były pieniądze.

Z gmachu wypadają dwaj uzbrojeni strażnicy. Każdy z nich trzyma płócienny worek. Kierują się do samochodu. Wentworth naciska gaz. Ricci otwiera drzwi. Strażnicy rzucają mu worek na kolana i zatrzaskują drzwi. Motocykliści ruszają z włączonymi syrenami.

— No, załatwione — mówi Wentworth.

Ricci podaje wiadomość przez radio.

Na rogu skrzyżowania policjant daje im znak i wjeżdżają w Nassau Street, jedną z najwyższych ulic miasta. Mijają ją bez zacięć. Z rykiem suną przez Fulton Street, Ann Street i Beekman Street, skręcają w prawo i wjeżdżają w Park Row. Po lewej rysuje się Ratusz.

Cudowna jazda, myśli Wentworth, wdzierać się tak w ruch, dzięki motocyklistom, którzy otwierają drogę.

— Nie możemy zdążyć — lamentuje Ricci. — To niemożliwe.

Przy Ratuszu Wentworth zjeżdża na prawo. Ruch od Brooklyn Bridge został wstrzymany. Skręca w Centre Street za motocyklistami i mija pędem gmach Trybunału Federalnego i wielką masę Pałacu Sprawiedliwości. Potem trafiają w Lafayette Street i skręcają na północ.

Wentworth nie wierzył, że na każdym skrzyżowaniu będzie policjant, ale to prawda. Liczba policji uczestniczącej w akcji jest zdumiewająca. Wszyscy są tutaj, w innych dzielnicach bandyci i złodzieje muszą sobie swobodnie poczynać. Nagle rozbłyskują światła stopu motocyklistów i nieco dalej Wentworth dostrzega tarasujący skrzyżowanie samochód. Naciska hamulec. Motocykliści jednak nie zwalniali; widąc hamowali instynktownie. Znowu naciska gaz. Obok samochodu stoi policjant, chyba go popycha, ale samochód ani drgnie. W momencie gdy motocykle omal nie wpadają na przeszkodę, wóz hałaśliwie rusza. Wentworth gwałtownie odbija w prawo.

— Jeszcze jeden taki numer i rozwalimy się — mruczy.

— Nie zdążymy — szepce Ricci.

— Nawet nie próbuję — mówi Wentworth. — Za następnym zakrętem, jak tylko znikną motocykliści, skręcam w lewo i więcej. Będziemy mieli milion, ty i ja.

Ricci patrzy na niego zdumiony.

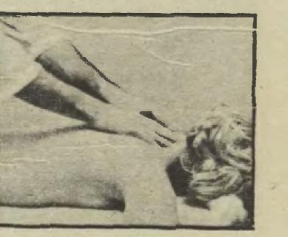
— Wyobraź sobie, że to premia — mówi dalej Wentworth. — Masz pięćset tysięcy dolarów.

Wyobrażasz sobie, ile ton spaghetti mógłbyś sobie za to fundnąć?

Uśmiecha się mijając następne skrzyżowanie i wjeżdża w szeroką Houston Street. (Dalszy ciąg za tydzień)

Przełożył
FRANCISZEK WELCZAR

NA
DESMOND MORRIS



Angielski zoolog był, przez lata dyrektorem sekcji ssaków w londyńskim zoo. To

go skłoniło do obserwacji zwierzęcych zachowań człowieka. Dla Morrisa człowiek nie posiada ciała, ale jest ciałem. Tezę odnaleźć można w jego głośnej książce, pt. *Naga malpa*, która niebawem ukaże się w wydaniu książkowym.

Kolejna praca Morrisa, *Nagie stadło*, jest jakby katalogiem tabu i nakazów, jakie

ludzkiej zwierzęcości narzucają wymogi społeczne i obyczajowe, odcinając zarazem możliwości prawdziwej zażyłości z otaczającym światem. Potrzebę fizycznego, zmysłowego kontaktu wypełniają akceptowane społecznie namiastki. Jakże — dowiedzieć się z drukowanych poniżej wrywków tej pracy.

W Zurychu, na jednej z tablic reklamowych, jest plakat przedstawiający głowy dwóch mężczyzn. Różnią się tylko tym, że jeden trzyma w ustach papierosa, a drugi dziecięcy smoczek. Nie ma podpisu, sens orędzia tak wydał się jasny autorom plakatu.

Zamiarem plakatu było oczywiście okrycie hańbą dorosłego człowieka, który pali. Chciano mu dać odczuć, że brakuje mu dojrzałości i przypomina niemowlę. Można jednak interpretować ten plakat także na odwrót. Jeśli człowiek trzymający w ustach smoczek czuje z tego powodu pociechę, to zarzuć mu można jedynie dziecięcy wygląd. Drugi natomiast obrazek problem nasz rozwiązuje. Podobnie jak smoczek, papieros pociesza, równocześnie usuwając dziecięcy wygląd. Jeśli tak na to spojrzeć, jest to niemal reklama zachwalająca tytoni, który jeszcze nie odkrył, że palenie przynosi elementarne pokrzepienie. Palcie więc papierosa, nie będziecie wyglądać na niedojrzałych, a przyniesie wam to pewne uspokojenie.

Ci, co prowadzą kampanie antynikotynową, popełniają znaczną pomyłkę. Rzadko zadają sobie pytania zasadnicze: dlaczego ludzie palą? Opierając się na efektach przyzwyczajenia do nikotyny, przeciwnicy tytoniu myślą, że palenie ma związek z toksykomania. Element ten jest niezaprzeczalny, ale nie stanowi bynajmniej najważniejszego czynnika. Wielu ludzi nawet nie polyka dymu, pochłaniać więc mogą bardzo nikłe dawki nikotyny. Zatrucie nikotyną ma więc inne przyczyny, które niewątpliwie rodzi potrzeba trzymania czegoś w ustach. To właśnie tak wyraźnie ukazuje plakaty w Zurychu. Dopóki ten aspekt sprawy nie zostanie zbadany, nie ma wielkiej nadziei na wyeliminowanie spożycia tytoniu w społeczeństwach, które poddają nas napięciom i zmuszają do szukania pociechy.

Przypadek, jaki tu badamy, to przypadek martwego przedmiotu, który służy jako namiastka rzeczywistej zażyłości z inną ludzką istotą. Jesteśmy w świecie przedmiotów - substytutów, które posiadają ukrytą moc zażyłości. Jest ich wiele oprócz papierosa, ale zaciśnijmy od niego. Istotnie, papieros każe nam powrócić na sam początek historii, do chwili, gdy zirytowana matka wypycha do ust krzyczącego dziecka zamiast swojej piersi smoczek. Ten gumowy smoczek Anglicy nazywają niekiedy „pacyfikatorem”.

Widąc więc trzymanie czegoś w ustach uspokaja ludzką zwierzę. Stanowi odpowiednik uspokajającego kontaktu z pierwotnym opiekunem, jakim jest matka. Jest silną formą sym-

bolicznej intymności, która towarzyszy nam całe życie. Świadczy o tym choćby widok wielce zadowolonego staruszka, który ssie ustnik fajki.

Jeśli idzie o dorosłego „ssącego” wystarczy dokonać zamiany, odebrać mu dziecięcy wygląd, by nie ukazywać tego, co naprawdę robi — stać ukryty sens plakatu w Zurychu. Zapewne dziecięcy smoczek w równej mierze uspokoiłby zdenerwowanego dorosłego, gdyby nie przywiązany doń znak dziecięcości. Dorosły musi się więc odwoływać do przedmiotów, które ostanowią tę prawdę.

Z tego przynajmniej punktu widzenia papieros jest przedmiotem idealnym. Wszystko w nim „dowodzi” dorosłości. Zabroniony jest dzieciom, a zatem nie ma nic wspólnego z dziecięcym ssaniem, swym prawdziwym pochodzeniem. Papieros w ustach daje miłe wrażenie ciepła bardziej zbliżone do matczynej piersi niż gumowy smoczek. Co więcej, polykany dym zwiększa złudzenie. Można zatem ułożyć symboliczne równanie: ciepły dym, który się polyka = ciepłym mlekiem matki.

Wielu palaczy, podnosząc papierosa do ust, albo go wyjmując, ociera palcami zewnętrzną stronę ust, naśladując tak kontakt z pierśnią matki. Niektórzy wkładając papierosa między wargi pozostawiają go tam na długo, a tylko od czasu do czasu pociągają. Chwile, gdy palacz nie wciąga dymu, są identyczne z tymi, gdy w pól uspięne niemowlę trzyma w ustach gumowy smoczek, którego już nie ssie.

Innym wariantem tematu jest cygaro, super-smoczek businessmenów, którego koniec ma stosowną okrągłość i gładkość. Ceremonialnie i spokojnie przebija się i ucina specjalnymi narzędziami ten gładki kawałek słodkiej piersi, by ułatwić uspokajający dopływ dymu-mleka. Niektórzy poświęcają łagodny dotyk papierosa czy cygara na rzecz wyraźniejszej gładkości lufki do papierosów czy fajki. Język może grać wtedy z równie gładką powierzchnią, która wysługuje się jak smoczek z ciała czy gumy.

Ogromne ilości tytoniu, jakie wypala się dzisiaj na świecie, świadczą o olbrzymiej potrzebie symbolicznego aktu zażyłości, który przywraca spokój. Szkodliwe efekty tego typu zachowania są drugorzędne. By je usunąć trzeba będzie znaleźć inne środki odprężenia.

Próbowano już papierosów z plastiku, ale mają one chyba niewielką przyszłość. Propozycja ta omija bowiem dwie ważne zalety prawdziwego papierosa — ciepło i możliwość rzeczywistego ssania.

Poza tym nie jest wystarczająco zakamuflowana. Co prawda wielu ludzi ssie lub gryzie ołówki, pióra, zapalki, oprawki okularów, ale wszystkie te przedmioty mają inną oficjalną funkcję. Plastikowy papieros nie zdabły egzaminu, zbyt jest podobny do gumowego smoczka z plakatu w Zurychu.

Ci, którzy przestali palić, albo próbowali

to robić, narzekają, że tyja, gdy tylko porzucą swoje tytoniowe smoczki. Były palacz, czując głód papierosa, staje wobec nagłej potrzeby dodatkowej pociechy i sięga po słodycze. Ssanie cukierków to jeszcze jedna maska. Dla wielu z nas zachowanie takie wypełnia przepaść między gumowym smoczkiem z dzieciństwa a papierosem wieku dorosłego. Cukiernia to królestwo dziecka: za duże na gumowe smoczki przerzuca się ono na rozmaite gatunki cukierków. Być może psują one zęby, ale krzepią. Jako dorośli odwracamy się od tych radości, ale wielu młodych zakochanych przynosi wybrane krzepiący podarek w postaci czekoladek — czarodziejskich czekoladowych smoczków. By nadąć słodyczom patent szacowności w oczach dorosłych, często napienia się je alkoholem, który jest przeciwstawieniem dziecięcości.

Te produkty żywnościowe nie mają trwałości piersi, której symboliczną rolę odgrywają, posiadają jednak ważną zaletę, są miłe w dotyku i przyjemne w smaku. Istnieje też odmiana mniej ułotna — jest nią guma do żucia.

Produkują się ją z elastycznej gumy, nasyczonej zapachami. Można ją żuć godzinami, a reklama zachwala ją jako coś „co uspokaja nerwy i pozwala się skoncentrować”. Symbolicznie to nic innego jak kauczukowy smoczek. Szczególnie elastyczne gumy powinny być zapewnić ogromny sukces, ma ona jednak poważną wadę w postaci widocznego ruchu szczęk, przy żuciu. Nie stanowi to problemu dla tego, co żuje, lecz dla tych, co patrzą. W wielu środowiskach żucie gumy uważa się więc za „niehigieniczne przyzwyczajenie”, co ogranicza jej zasięg.

PONIEWAŻ MLEKO MATKI jest cieczą ciepłą i słodką, wielu dorosłych, dla odprężenia w chwilach napięcia czy nudy, używa najrozsądniejszych ciepłych i słodkich napojów. Miliony litrów herbaty, kawy, kakao, jakie się spożywa rocznie, nie mają żadnego związku z rzeczywistymi wymogami pragnienia. Raz jeszcze pragnienie jest oficjalnym pretekstem. Filiżanki i szklanki, które wypijamy małymi łykami, to substytuty krzepiącego matczyńskiego mleka.

Ciekawa jest ta nasza gra z oczywistością: pijemy gorącą herbatę, ale zimne mleko. Picie ciepłego mleka jest zbyt otwarcie niemowlęce. Tylko chorzy piją ciepłe mleko; jest to do przyjęcia, bo chorzy opuszczają teren walk dorosłych i w pewnej mierze na powrót stają się dziećmi. Jedno dziecko zachowanie więcej nie robi mu różnicy.

Jest wiele innych przedmiotów — lodygi roślin czy korale naszyjników — które wkłada się do ust w przejściowych chwilach samopocieszenia. Jak widać dziecięce przyjemności bra-

nia wszystkiego do ust odgrywają jeszcze ważną rolę w naszym życiu dorosłym. Pomijamy tu wymianę pocałunków, przyjaznych lub seksualnych, by przejść do badania innych części ciała dorosłego człowieka.

Dla niemowlęcia inna forma kontaktu polegała na przytulaniu policzka do ciała matki. Przytulać policzek do przedmiotów miękkich i gładkich jest rzadkie u dorosłego mężczyzny. Stanowi natomiast dość częste zachowanie kobiece. Wiele reklam kolder, pościeli i pledów ukazuje uśmiechniętą kobietę, która z głową przychylną na bok pieszczołtliwie przytula do policzka miękką powierzchnię materacu. W reklamach kolder ta poza ma niemal monopol. Wszyscy zdają się zapominać, że w posłanym łóżku, prześcieradła nie dopuszczają do bezpośredniego kontaktu z koldrą. Podobnym tendencjom posłuszna jest reklama futer.

NAJCZĘSTSZY TKLIWY KONTAKT, jaki znają policzki mężczyzny i kobiet to zetknięcie z poduszką w nocy. Pod koniec dnia, pieszczoła tej poduszki-piersi działa kojąco i efekt ten jest nie do pogardzenia. Poduszka uspokaja nas i przygotowuje do zapadnięcia w sen, wycofuje z codziennych walk dorosłych.

Podobnie jest i z resztą posłania. Dorosły reaguje nie tylko na poduszkę, trzeba mu materac twardy lub elastyczny, łóżka zasłanego ciasnem lub tylko narzuconego koldrą. To ważny wybór, kiedy musi spać w nocy uścisk łóżka, gdzie spędza jedną trzecią życia.

W 1970 na amerykańskim rynku pojawił się nowy model łóżka — łóżko wodne. Z grubszą chłodząco wypielnioną wodą materac z winylu. Śpiący na nim wpada łagodnie w ten uścisk cieczy, jakby powracał do pseudo-macicy. Urządzenie ogrzewcze i termostat utrzymują wodę w określonej temperaturze. W drugiej połowie 1970 roku sprzedano około 15 tysięcy tych łóżek, a niebawem popyt przewyższał podaż.

Nasze zwyczajne snu i zamięłowanie do poduszki, materaca, pościeli, miękkiej i elastycznej, jeśli im poświęcić bezstronne badanie, nabierają szczególnego znaczenia. Snu nie można sroawadzić jedynie do fizycznego odpoczynku, który przygotowuje nas do wysiłków jutra. To także zapadnięcie zycielwe w uścisk przedmiotów.

NAWET PODCZAS GODZIN czuwania nie zabraniamy sobie całkowicie tych prymitywnych radości, czego dowodzi nowoczesny orzemyśl meblarski. Fotele i kanapy oferują, dzisiaj zmysłową miękkość i niemal miły komfort łóżka. Stanowią obowiązkowe u-mieblowanie. Tu pod koniec naszych ciężkich dni pracy szczęśliwi tonimy w mięką intymność ulubionego mebla. Ramiona fotela nie opróżniają rzeczywistego uścisku, ale nasze ciało odczuwa prawdziwą radość, gdy uginają się pod nim elastyczne powierzchnie. Związuję się miękko w naszych fotelach, które są symbolem matczynej kolan. I odnajdujemy bezpieczeństwo dziecka, by z od-

ległości i bez ryzyka przyglądać się okrutnemu chaosowi zewnętrznego świata dorosłych poprzez alegoryczne obrazy ekranów telewizyjnych, czy opisy powieści.

Oglądając telewizję w wygodnym komfortie fotela to akt analogiczny do działania dziecka, które bezpieczne na kolanach matki spogląda przez okno. Oglądając telewizję znaczy nie tylko zabawić się czy do-kształcić: to także zasadniczy element uspokojenia w naszym pełnym napięć świecie dorosłych.

Szklany ekran telewizyjny, który staje w poprzek obrazów, odcina nas od nich, nie mogą uczynić nam nic złego.

Nie trudno więc ułożyć równanie tych symbolicznych stosunków: prawdziwa matka, która opiekuje się i pociesza = ekran telewizyjny, który odgradza + fotel-matka, który zabezpiecza.

KOBIETY, gdy są zdenerwowane, bawią się bransoletkami i naszyjnikami. Podobnie zakonnice zyskują pokrzepienie i uspokojenie, przesuwając paciorki różańca. W innych chwilach miła pieszczoła szminki do ust, czy puszkę z pudrem dostarczy napiętej kobiecie uspokajającego wrażenia dotykowego. W innych momentach wśczołkowanie lub czesanie włosów dużo dłuższej niż jest to potrzebne dla ich ułożenia, mieć będzie uspokajający efekt, nasycy-miłosną pieszczołą, którą daje się samemu sobie.

W pewnych przypadkach znalezienie kontaktu z towarzyszem realizuje się za pośrednictwem jakiegokolwiek przedmiotu, np. wznosząc toast stukamy się kieliszkami. Stare wiktoriańskie albumy zdjęć dają tego klasyczny przykład. Na typowej fotografii grupowej matka pośrodku siedzi na krześle, trzymając na kolanach najmłodszą pociechę. Maż oczywiście miałby ochotę objąć ją za szyję, ale nie śmie tego zrobić publicznie, tuli więc tylko poręcz krzesła, na którym ona siedzi.

Często zdarza się, że ktoś siedząc na krześle tuli czule jego poręcz, równocześnie rozmawiając z ożywieniem z kimś siedzącym naprzeciw. Fotel na biegunach przynosi większą pociechę niż krzesło. Było to jedno z ulubionych zachowań prezydenta Kennedy'ego w chwilach wielkiej napięć. Kołysanie się ma bezpośredni związek z kołyską lub ramionami matki.

ABSURDALNOŚĆ tych przykładów jest oczywista. Absurdalne jest, że dorosły musi zatracać płuća substancją rakotwórczą, by wskrzeszać prymitywną namiastkę przyjemności, jakiej zaznał, gdy karmiła go matka, lub gdy karmiono go z flaszki. Absurdalne jest, że dorośli muszą nieustannie trzymać w ustach gumowy smoczek w formie gumy do żucia. Ale nawet jeśli te zachowania mogą się wydać absurdalne i patetyczne, są dla wielu osób jedynym dostępnym rozwiązaniem. Trzeba bowiem pamiętać, że kon-

DOKOŃCZENIE str. 18-19

ZIMOWA BAJKA raczej dla dzieci

Nieliczni przechodnie z nosami w szalikach i uszami w kołnierzach podążali pospiesznie do domostw... Mróz trzymał taki, że rękę odmroziła sobie słupkę poniżej zera... Zmierzało. Nieśmiało światło latarni oświetliło ulicę pustą i ciche, jak w czasie meczu Polska—Anglia. Tylko na zbiegu ulic: Koziej i Szczepieszyńskiego stała odziana w chuście dziewczynka za straganem z jarzynami, do których przylgnęły srebrne śniegu skry.

Nagle w chybliwym świetle latarni zamajaczyła postać kobieca cała w pachowych bielach. Nad jej niemniej pachową czapką jaśniała gwiazda. Nie ma co dłużej ukrywać — była to dobra wróżka.

— Nareszcie będę mogła zrobić coś dobrego — powiedziała głosem wewnętrznym dobra wróżka. — Co raz rzadziej trafiają się dziś biedne sierotki sprzedające zapalki. Ta wprawdzie handluje jarzynami, ale na bezsieroci i jarzyna zapalką.

— Jestem dobrą wróżką, dziewczynko — powiedziała już głosem

zewnątrznym — wyznaj mi, dziewczynko, czy masz jakieś życzenie?... Mogę ci wyczarować, na przykład, zaprzęzoną w jelenie karete, która zawiezie cię na bal?...

— Co też pani? — odparła dziewczynka. — Sama sobie znajdę jelenia, który zabierze mnie na dancing; a do domu pojedę zaraz Warburgiem-combi, bo tylko patrzeć, jak mama po mnie podjedzie i zwiżamy majdan. Dość już na dziś utargu.

SKANDAL POD PDT

Do gorszących zajęć doszło przedwcześnie w samym sercu miasta, pod domem towarowym „Wszystko dla dziecka”. — Grupa podochoconych Mikołajów wdała się w bijatykę na pastorały (sic!). W powietrzu fruwały waty z bród walczących, a niecenzuralne wyrazy dobiegały do uszu dziatwy. Gorsząc scenom położyl kres patrol MO zabierając do radiowozu pięciu poturbowanych Mikołajów.

Bójka, jak zeznali zatrzymanym, powstała na tle zawodowo-konkurencyjnym, gdyż kilku na raz Mikołajów starało się zająć rejon domu towarowego. Krewkim dziadkom-mrozom grozi kara za naruszenie spokoju przedświątecznego. Mimo zapewnien najstarszego z rozrabiaczy, że jest on prawdziwym Mikołajem, wszystkich pięciu zatrzymano w areszcie do rozprawy kolegium.



WYTEŻ SIĘ! — i znajdź, co najmniej 5 błędów na tym rysunku

OGŁOSZENIE DROBNE

ZAMIENIAM na lepsze prezenty świąteczne, słubne i imieninowe. Ceny umiarkowane.

NASZ WIERSZYK
W brzytkiego wesołego,
lecz traski i gorczy
i roku szczęśliwego (74)
"Bzdurnik" także żyje

NAMIASKI DOKOŃCZENIE ze str. 17

takt fizyczny, choćby nie wiedzieć jak odległy od rzeczywistości, jest zawsze lepszy niż przerażająca samotność lub całkowity brak kontaktu. Innymi słowy, musimy przestać piętnować objawy, a dokładniej analizować przyczyny problemu. Bądźmy bardziej życzliwi z bliskimi, a nie będziemy potrzebować namiastek intymności.

Na razie były jakieś dotknięcie przedmiotów jest lepsze niż jego brak.

NASZ GATUNEK nigdy zresztą nie pozostaje bezbronny. Wynalazczość każe nam odkrywać inne namiastki, nawet jeśli rzadko godzimy się z ich istnieniem.

Chodzimy tańczyć, nie żeby dotykać, lecz żeby się „bawić”. Do lekarza z powodu wirusa, a nie z potrzeby pokrzepienia. Do fryzjera, żeby nas uczesał, a nie głaskał po głowie.

Wszystkie usługi mają swoją rację bytu i znaczenie, ale równocześnie kryją całkiem inne zjawisko.

Jeśli najbliżsi nie potrafią nam dostarczyć tego, czego potrzebujemy, a niebezpiecznie szukać kontaktów z nieznanymi, zawsze możemy udać się do sklepu zoologicznego i za skromną sumę zapewnić sobie porcję zwierzęcej czułości i zażyłości. Oswojone zwierzę jest niewinne, nie zadaje pytań, a my też zbyt nie zastanawiamy się nad nim. Liże nam ręce, ociera o nogi, tu-

Z KIM NAS GWIAZDY SKOJARZĄ?

ŚWIĘTA — SYLWESTER — KARNAWAŁ, a więc wizyty, wieczorki, bale... Okres, gdy najwięcej par przyrzeka sobie miłość i wierność małżeńską, zamienia zaręczynowe pierścionki, a może dopiero... poznaje się.

Czy pierwsze oczarowanie będzie długie trwało?

Czy wybór jest słuszny? Jakże trudno odpowiedzieć na te pytania.

Zwolennicy technokracji proszą o odpowiedzi mózgi elektroniczne; tradycjonalisci radzą się krewnych i przyjaciół.

Najczęściej jednak słucha się „co serce podpowie” — i ta popód rada jest najlepsza...

Niegdyś uznanym doradcą także i w sprawach małżeńsko-sercowych był astrolog. On to, badając położenie ciał niebieskich w godzinie urodzenia młodej pary, wróżył czego też oczekiwać mogą w życiu we dwoje, czasem wyznaczał też datę zaślubin.

Z czasów tych przetrwały do dziś dnia w zaciszu bibliotek stare księgi i z nich wyczytaliśmy gwiazdą mądrość, którą się chcemy podzielić.

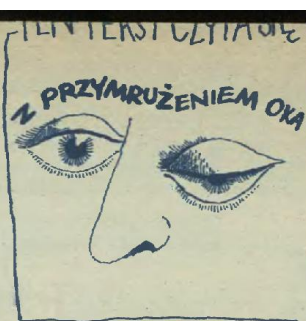
— JAKI ZNAK ZODIAKU — Z JAKIM KOJARZYĆ SIĘ POWINIEN.

Aby oszczędzić Czytelnikom kłopotu ze znalezieniem swojego znaku, najpierw przypominamy jeszcze raz, którym miesiącom roku, dane znaki zodiakalne kregu patronują.
BARAN: 21 marzec — 21 kwiecień
BYK: 21 kwiecień — 20 maj
BŁIŹNIĘTA: 21 maj — 21 czerwiec
RAK: 22 czerwiec — 22 lipiec
LEW: 23 lipiec — 23 sierpień
PANNA: 24 sierpień — 23 wrzesień
WAGA: 24 wrzesień — 23 październik
SKORPION: 24 październik — 22 listopad

STRZELEC: 23 listopad — 21 grudzień
KOZIOROŻEC: 22 grudzień — 20 styczeń
WODNIK: 1 styczeń — 18 luty
RYBY: 19 luty — 20 marzec

Zdaniem astrologów każdy zodiak należał do jednego z czterech głównych żywiołów: ognia — ziemi — powietrza — wody.

Znaki ognia to: BARAN, LEW, STRZELEC;
znaki ziemi — BYK, PANNA, KOZIOROŻEC;
znaki powietrza — BŁIŹNIĘTA, WAGA, WODNIK;



znaki wody — RAK, SKORPION, RYBY.

Najszczęśliwsze pary kojarzyć się miały między ludźmi spod znaków, należących do tego samego żywiołu, lub też między tymi, których zodiakalni patroni należeli do żywiołów wzajemnie uzupełniających się.

A więc znaki wody ze znakami ziemi, znaki powietrza ze znakami ognia.

W myśl tej zasady ludzie np. spod znaku BARANA towarzyszy życia szukać powinni wśród ludzi urodzonych pod znakiem Lwa lub Strzelca itd.

Był to zdaniem astrologów najlepszy dobór — ale dopuszczalne są także inne połączenia jak:

Barana z Bliźniętami lub Wodnikiem, Byka z Rybami lub Rakiem, Bliźniat z Baranem lub Lwem, Raka z Bykiem lub Panną, Lwa z Bliźniętami lub Wagą, Panny z Rakiem lub Skorpionem, Wagi z Lwem lub Strzelcem, Skorpiona z Panną lub Koziorożcem, Strzelca z Wagą lub Wodnikiem, Koziorożca ze Skorpionem lub Rybami, Wodnika z Łucznikiem lub Baranem, Ryb z Koziorożcem lub Bykiem.

Oczywiście były to tylko wskazówki bardzo ogólne, astrolog, który chciałby z całą pewnością stwierdzić czy dwoje ludzi znajduje szczęście z wolą gwiazd musiałby zbadać dokładnie daty i godziny urodzenia obojga, ustalić w jakim dniu tygodnia przyszli na świat i jakie też było położenie planet w godzinie ich urodzenia. Nie zachęcamy aż do tak dogłębnych badań nad astrologią — mogłoby to przecież przesłonić realne spojrzenie na świat i osobę szczęśliwego wybrańca czy wybranki. A to dopiero pociągnęłoby za sobą prawdziwe kłopoty — wbrew temu co mówią gwiazdy. (w)

Wykłada mistrz Europy

Lekcja XVIII

PRZEKROJ: Gdy tylko zrobi się jesień, zimno i gdy występują gołolędzie i śnieg — na jeźdźniach robi się pustawo. Polacy przestają jeździć. Polscy kierowcy mają obsesyjny strach przed „ślizgawką”. Czy słusznie?

ZASADA: Po prostu umiejętność jazdy na śliskiej nawierzchni jest u nas minimalna. Tego trzeba się naprawdę nauczyć i trzeba to wytrenować. Ja chętnie jadę samochodem do Warszawy w najgorszą gołolędz — bo to dla mnie trening jazdy na śliskim.

P.: Oczywiście jeździć pan na oponach z kołkami? To teraz bardzo modne.

Z.: Nie, bez kołków. To jest dopiero prawdziwy trening. Cała jazda sportowa opiera się na opanowaniu techniki poślizgów. Wy-



WYŻSZA SZKOŁA JAZDY SAMOCHODOWEJ

(Jedyna na świecie szkoła, w której uczeń nie musi odpowiadać na pytania, bowiem nauczyciel odpowiada nieustannie na pytania „Przekroju”)

Z naszych przyjaciół zwierząt najbardziej liczą się psy i koty. Jest ich 90 milionów w USA. Co godzinę rodzi się 10 tysięcy szczeniąt i kociąt. Francja liczy około 16 milionów psów, NRF — 8 milionów, Anglia — 5 milionów. Brakuje dokładnych danych dotyczących kotów. Sumując te dane dowiadujemy się, że w tych krajach jest około 150 milionów kotów i psów.

Jeśli w przybliżeniu każde z tych zwierząt jest



JEST TAKI STARY DOWCIP o pewnym dżentelnie, który nadużywszy wieczoru poprzedniego napojów alkoholowych, leży w łóżku z głową obwiązaną ręcznikiem i do kota, który kroczy po puszystym dywanie, woła: **NIE TUPAC!...**

Otóż ten dżentelmen miał po prostu *kaca*, *kociokwik*, z niemieckiego — *Katzenjammer*, po staropolsku — *pochmiel*.

Nie wiemy, czy ktoś z Czytelników „Przekroju” nadużywał kiedykolwiek napojów alkoholowych i czy zna takie uczucie, zwane kacem. Ale zbliżają się święta, Nowy Rok, karnawał a żli ludzie, rozmaite moczomordy, ochlapusy czy pijacki boże, mogą któregoś z naszych Czytelników, a nawet Prenumeratorów, namówić na spożycie większej ilości trunków i następ-

negu dnia denerwuje nas nawet kotek stąpający po perskim dywanie.

Jak się chronić przed kacem? Najlepszy sposób to umiar w spożywaniu napojów wyskokowych, ale powiedzmy, że to nam się z tych czy innych powodów nie udało i mamy kaca. Domownicy i przyjaciele radzą nam wtedy pić sok z ogórków, lykka aspirynę czy też kąpać się w przerebli. To wszystko jednak nie pomaga, ale przecież muszą istnieć jakieś sposoby, jakieś recepty na pokonanie kaca.

Postanowiliśmy pokonać trudności i porozumieć się z wybitnymi znawcami tej dziedziny, z barmanami znakomitych lokali gastronomicznych w różnych miastach kuli ziemskiej. Otrzymałszy szereg recept i przepisów, które poniżej zamieszczamy, oczywiście na odpowiedzialność informatorów i życzymy zdrowia!

ZURAW PORANNY

radzi Leo Sato, Kahala Hilton, Honolulu
Szkłanka soku pomidorowego pół na pół z piwem, albo do dużej szklanki z lodem wlać Ginger Ale i dodać trzy „spritzery” Angustury Bitters i sok z połowki cytryny. Wszystko dobrze wymieszać.

NA POMOC!

radzi Sulejman Karanfil, Karagoz Bar, Istambul

Pół łyżeczki olejku miętowego, jedno żółtko, odrobina czarnego pieprzu i soli, jeden „spritzer” Angustury Bitters. Przed wypiciem wszystko dobrze wymieszać.

BUDZIK BUHAJA

radzi Peter Schwarz, Hotel Kempinski, Berlin Zach.

Jedna filiżanka zimnego consommé (bulionu), 40 g czystej wódki, jedno żółtko, wszystko

przyprawić solą, pieprzem, papryką i sosem Worcestershire. Podawać na zimno.

ZMUSZAJ MNIE!

radzi Stelios Ataliotis, Hilton-Hotel, Cypr

30 g Sherry, 10 g Fernet Branca, 60 g soku pomidorowego, przed wypiciem dobrze wymieszać.

WYPROSTOWYWACZ

radzi Tony Camilleri, Journalist's Club, Sydney

Jeden „spritzer” Angustury Bitters, jedna łyżeczka cukru, 40 g brandy (może być wi-

niak), jedna szklanka świeżego mleka, dodać lodu i trochę wody sodowej i wypić.

DWUNOŻNY

radzi Klaus Stahl, Hilberts Parkhotel, Bad Nauheim

Sok pomidorowy, jedno żółtko, wszystko dobrze ubijać, potem dodać sosu Worcestershire, pieprzu, soli i sosu Tabasco, do tego wlać jeden podwójny koniak, jeszcze jedno żółtko, do smaku dodać pieprzu i musztardy. Wszystko dobrze wymieszać.

OTWIERACZ OCZU

radzi Warren i Enos Maitland, El Panama Hotel, Panama City

40 g Sherry, 40 g anyżku, 20 g soku cytrynowego, dodać szklankę wody sodowej.

WSPÓLCZUCIE

radzi Jouke D. T. Eekma, Half Moon Bar, Amsterdam

Jedno całe jajko, 20 g soku cytrynowego, 10 g syropu cukrowego (dodawać do smaku), 30 g wódki czystej, wszystko wlać do jakiegos naczynia, mocno wytrząsnąć, następnie wlewać do szklanki z lodem, dodać trochę sody i pić przez słomkę.

CZARNY KOT

radzi barman z Casino-Gaststätten, Konstancja

40 g wódki, 50 g soku pomidorowego, jedno żółtko, cztery „spritzery” Angustury Bitters i dwie sosu Tabasco, duży szczypta soli i selera, dobrze potrząsać i podać w szklance do whisky.

MOULIN ROUGE

radzi Ernie Muscatello i Bob Taylor, Hotel Tropicana, Las Vegas

20 g ginu, 20 g Apricot Brandy, ¼ białka, jeden „spritzer” Grenadine. Podawać w szklance do cocktailu.

POLAWIACZ PEREL

radzi Gene Barstow, Rubini's, San Francisco

60 g soku z muszli, 20 g wódki, jeden „spritzer” sosu Tabasco, trochę soku cytrynowego, dodać parę kostek lodu i wlać do dużej szklanki.

GORĄCA CZERWIEN PORANKA

radzi Peter Granser, Hotel Intercontinental, Hannover

100 g soku pomidorowego, szczypta soli selerowej, odrobina soli (tyle co na czubku noża), 40 g wódki, sześć „spritzerów” sosu Worcestershire, dwa „spritzery” sosu Tabasco, łyżka soku cytrynowego, jedna łyżka Ketchupu, sporo zmiełonego białego pieprzu. Wszystko zagotować, wlać do ognio-

odpornej szklanki lub filiżanki dodać trochę lekko posolonej śmietany i posypać różaną papryką.

BUDZIK TRUPA

radzi Brian Daly, The Rainbow Room, Nowy Jork

Wlać do szklanki 30 g Dubonnet, 10 g Amer Picon, zmieszać z szampanem i odrobiną koniaku, i o ile nie trzęsie się ręce, udekorować plasterkiem cytryny i skórką pomarańczową.

MASAZ SERCA

radzi John Burgess, Menzies Hotel, Sydney

20 g Fernet Branca, 20 g kremu mentolowego, mieszać w pobliżu lodówki dopóki się dobrze nie oziębi, potem wlać do kieliszka cocktailowego i dodać kieliszek Pernod.

ROZPRASZACZ MGŁY

radzi Walt Hudson, Fabulous Flamingo Hotel, Las Vegas

20 g brandy (wódki), 30 g Pernod, 40 g śmietany, jedno jajko, wszystkie składniki zmieszać, ochłodzić i wlać do szklanki.

PEŁZANIE FIG

radzi Daniel Empereur-Buisson, Khema Bar, Tunis

40 g Boukha (tunezyjska wódka z fig), jeden „spritzer” Ricard, 6-7 „spritzerów” Angustury Bitters, wszystko dokładnie wytrząsnąć w mikserze i wlać do szklanki z lodem.

STRAŻ TYLNA

radzi Mike, Village Vanguard, Nowy Jork

30 g wódki, 60 g soku z jarzyn, 60 g rosółki z mięsa, 20 g soku z muszli, plasterki cytryny, jeden „spritzer” sosu Tabasco, szczypta soli selerowej, ocupinka mielonego pieprzu, wszystko dobrze wymieszać z lodem i wlać do szklanki.

PLAMY NA SŁONECZKU

radzi barman z The Continental Plaza, Chicago

Zmieszać w małej miseczce chochelkę ubitego lodu z 10 g Apricot Brandy, 20 g wódki, 60 g soku z pomarańczy, wlać do kielicha, dodać drobno posiekany lód i ozdobić plasterkiem pomarańczy. Pić przez słomkę.

JAK WIDZIEĆ — przepisy prawie niewykonalne, bo brak wielu składników, czasem zupełnie egzotycznych. Więc jedyna RADA — trzeba się strzec PRZED KACEM!

SOBIESŁAW ZASADA

woluje się je sztucznie na suchej jezdni. Nazywamy je „poślizgami kontrolowanymi”.

P.: Co to znaczy „kontrolowany”?

Z.: Świadomymi, takimi jakimi chcemy, uzależnionymi od woli i techniki kierowcy.

P.: Rozumiem, jeżeli wpada się z poślizgu na drzewo — to jest to wówczas przeciwieństwo poślizgu kontrolowanego.

Z.: Automobilklub i inne instytucje, patronujące sportowi samochodowemu — ostatnio wzmaga organizują pokazy poślizgów i uczą ich. Takich, z których nie wpada się na drzewo. Bo jeżeli znamy prawidłę wchodzenia w poślizg kontrolowany i wychodzenia z niego — to wówczas, gdy

JEŹDZIEĆ DOSKONAŁY

przypadkowo wpadniemy na lodzie w poślizg, będziemy potrafili obrócić samochód przed zgubnymi skutkami, nie pozwolimy mu na spotkanie z drzewem czy słupem.

P.: Jest to jednak szczyt techniki — te poślizgi kontrolowane.

Z.: Oczywiście — jeżeli ktoś umie naprawdę dobrze nimi się poruszać po jezdni i zakrętach. W jeździe sportowej samochód nie jedzie wcale tak, jak normalnie jedździ się po zakrętach. Zwykle do nadania kierunku pojazdowi służy tylko kierownica. W jeździe sportowej także pedał gazu.

P.: W jakim stopniu?

Z.: Na nawierzchni suchej kieruje się samochodem w 60% kie-

rownicą, a w 40% gazem, a na nawierzchni śliskiej odwrotnie. W obu wypadkach tendencja znaczenia operowania pedałem gazu wzrasta.

P.: Niestety sprawa ta niezna jest szerszemu ogółowi. Rzecz kiero- rowców boi się lodu i poślizgów. Nie wiem czy skółki poślizgu, a właściwie doraźne demonstracje załatwiają tutaj sprawę. W Polsce mamy zimą praktycznie przez 5 miesięcy — więc problem jazdy po nawierzchniach śliskich jest niebagatelny.

Z.: Każdy może się uczyć poślizgów indywidualnie i do tego będziemy chcieli naklonić naszych jeźdźców doskonałych...

P.: A jak trenować?

Z.: Gdy spadnie pierwszy śnieg, gdy oblodzi się nawierzchnia — wyjechać trzeba na placyk wy-

odrębiony z ruchu i przez pół lub całą godzinę trenować rozpędzanie wozu, hamowanie i skrety — aż z tego wyjdzie nam poślizg kontrolowany.

P.: Tylko problem, gdzie znaleźć taki placik... I czy każdy indywidualnie zdoła sobie... Ze swojej strony proponowałibyśmy, aby kierowcy łączyli się w grupy i trenowali na placówkach wspólne. Ale nie razem — tylko kolejno, aby bieżące nie mieli później zbyt wiele roboty dzięki masowemu treningowi!

Z.: Oczywiście. Aby dojść do poślizgu kontrolowanego — trzeba jeszcze znać jego zasadę. A jest ona przeciwna zdrowemu rozsądkowi, logice i prawom fizyki. Tak się to zrazu wydaje. W następnej lekcji dokładniej o poślizgu.

przeciętnie głaskane i pieszczone trzy razy dziennie, a więc około tysiąca razy w ciągu roku, otrzymamy wynik 150 milionów cielesnych kontaktów rocznie.

Podczas spotkania poklepujemy się po plecach, kochankowie, rodzice i dzieci głaszczą się wzajem po głowie, włosach, ale widać mało tego, jak dowodzą miliony pieczęci, jakimi raczymy zwierzęta. Skrepowani przepisami społecznymi kierujemy ku zaprzyjaźnionym zwierzętom namiastkę miłości.

Piętnowano gwałtownie ten fetyszizm zwierzęcy, który odzwierciedla dekadencją niezdolność współczesnego cywilizowanego człowieka do komunikowania z bliźnimi. Podkreślano, że dary dla zwierząt są hojniejsze niż dla dzieci.

Twierdzić, że zwierzęta są niewinne i bezbronne, że potrzebują naszej pomocy, to okazywać zaślepienia w epoce, gdy maltretuje się małe dzieci, a dorosłych pali napalmem. Jak się to dzieje, że w XX wieku po-

zwoliliśmy dorosłym zmasakrować w wojnach 100 milionów istnień, podczas gdy więcej milionów wydajemy na przekarmianie i fachową opiekę dla naszych zwierząt. Jak się to dzieje, że mamy więcej zrozumienia dla innych gatunków niż dla własnego?

Nie można pominąć leko tych argumentów, którym nie brak rzeczowości. Brak im natomiast zasadniczego aspektu sprawy: prawie zawsze zwierzę jest uzupełnieniem lub namiastką. Nic nie pozwala twier-

dzić, że uwaga poświęcona zwierzętom tym samym zmniejsza tę jaką poświęcamy bliźnim.

Wyobraźmy sobie, że jutro epidemia zgładzi wszystkie te zwierzęta, a tym samym zlikwiduje miliony czułych kontaktów między nimi a ich panami. Na kogo przerzuceno by całą tę czułość? Czy w czarodziejski cudowny sposób skierowana zostałaby ku ludziom? Prawdopodobnie nie. Po prostu miliony ludzi, często samotnych lub niezdolnych do nawiązania

prawdziwych więzów z ludźmi zostałyby pozbawione tego czulego cielesnego kontaktu. Trudno sobie wyobrazić, by stara kobieta, żyjąca samotnie z kotami w chwili gdy ich zabraknie zaczęła nagle głaskać listonosza.

W idealnym społeczeństwie nie powinniśmy potrzebować tych namiastek czy uzupełnień. Żądać jednak ich usunięcia, to próbować leczyć objawy zła, a nie jego przyczynę.

Przełożył: TOP

GDY PEWNEGO DNIA do drzwi Stanisława A. zamieszkałego we wsi Seroki zapukał listonosz i oddał mu urzędową kopertę, gospodarz długo przecierał ze zdziwienia oczy. „Stało” tam najwyraźniej, czarno na białym, że on, Stanisław A., ma się udać do Warszawy, aby ze stacji obsługi odebrać nowiutki zagraniczny samochód. Czytał, czytał i szczęściu swojemu nie wierzył.

A potem przypomniał sobie, że nie on jeden przecież nosi we wsi Seroki pow. sochaczewskiego nazwisko A. i imię Stanisław. Tak samo nazywa się jeszcze dwóch rolników, więc przez głowę przeleciała mu myśl, że pismo przeznaczone jest dla któregoś z sąsiadów. Zaszedł do gospodarstwa jednego z nich, rolnika mniej więcej w swoim wieku, ale w domu go nie zastał. Rozmawiał z dorosłym rybem.

— Oskarżony był u nas i pytał, czy nie składaliśmy zamówienia na samochód — zeznał potem przed sądem Krzysztof A. — Powiedziałem, że nie mamy zamiaru kupować samochodu.

Pierwszy rekonesans wypadł pozytywnie. Następnego Stanisław A. nie przeprowadził, bo trzech z gospodarzy noszący to samo nazwisko i imię przed paroma miesiącami, gdy stuknęła mu osiemdziesiątka, sprzedał gospodarce i ostatecznie wyniósł się z Seroki do Warszawy, do syna. A zresztą Stanisław A. nie znał nawet warszawskiego adresu staruszka.

Wciąż od początku czytał papier i dziwił się samemu sobie. Skąd niby dla niego tyle szczęścia? Cate życie ciężko narodził na roli, a ostatnio od paru lat był traktorzystą w kółku rolniczym w Błoniu. Przypomniał sobie swojego kierownika, człowieka zyciowego, a zarazem bardziej od niego kształconego. Niechęć i on spojrzeli na pismo i powie co oznacza.

Kierownik Anastazy T. obracał w palcach urzędowy papier i spoglądał na swego traktorzystę. Wynikało z treści, że niedługo z traktora przesiedzi się do samochodu i to nie było jakiegoś, bo SEATa 850. Prosił swojego kierownika, aby jak tylko pojedzie do stolicy, odwiedził stację samochodową, z której należało odebrać ów niespodziewany dar i zasięgnąć języka, czy samochód naprawdę ma być dla niego.

Anastazy T. zjawił się w stacji obsługi Polskiego Związku Motorowego, zajmującej się wydawaniem samochodów zakupionych w Banku PKO. Urzędnik stwierdził, że wszystkie stempelki się zgadzają i powiedział sucho, że po odbiór musi przybyć nabywca. Dla Anastazego T. oznaczało to, że Stanisław A. jest prawnym właścicielem samochodu.

Wysłuchawszy relacji zwierzchnika — traktorzystą zdecydował się wybrać po samochód, choć na dzień jego duszy tliła się jeszcze iskra niepokoju. Ale koledzy sądzili to samo co kierownik. Może rzeczywiście los uśmiecha się czasem niespodziewanie do człowieka?

W Warszawie zgłosił się pod wskazany adres, wylegitymował i bez najmniejszych trudności odebrał samochód. Wszyscy traktowali go tu serio, toteż niedawne wahania i obawy rozwiązały się ostatecznie.

SAMOCHÓD BYŁ PIĘKNY i Stanisław A. oglądał go z prawdziwym zachwytem, ale nie mógł sobie pozwolić na zachowanie takiego cacka.

— Dlaczego postanowiłem go sprzedać? — wyjaśnił potem wysokiemu sądowi. — Zarabiam 2 tys. i nie stać mnie było na rejestrację i inne koszty. Chciałem mieć inny wóz, tańszy, taki żeby sobie jakoś poradzić.

Rzeczywiście w tydzień po odebraniu samochodu z PKO, pojawił się na giełdzie samochodowej z zamiarem sprzedania SEATa. Na giełdę przybył właśnie lekarz spod Warszawy Jacek W. Gospodarz zauważył, że interesują go małe samochody, oglądał nawet SEATy, które właściciele cenili zbyt wysoko. On sam poznał dobrze cenę wozu. Żądał równo 135 tys. zł i lekarz ofertę przyjął. Tegóż dnia wybrali się wspólnie do wsi Seroki. Lekarz obejrzał wóz, sprawdził dokumenty i kupił wpłacając 124 tys. zł gotówką, równocześnie wystawiając Stanisławowi A. weksel na resztę należności. Miała być płatna w terminie późniejszym.

Po pomyślnie załatwionej transakcji Stanisław A. przystąpił do zakupów. Nabył samochód marki „Syrena”, materiały budowlane na budowę własnego ga-

rażu, zegarek, radioodbiornik, a także spłacił zaległe alimenty swojej żonie, z którą się rozszedł, (zalożył już drugą rodzinę). Tak upłynęły spokojnie dwa miesiące.

BOMBA WYBUCHŁA pewnego dnia, gdy syn jednego z trzech Stanisławów A. z Seroki, można powiedzieć Stanisława A. seniora, wstał do stacji samochodowej PZMot, by zapytać dlaczego nie dostaje zawiadomienia o odbiorze samochodu marki SEAT 850, skoro coraz więcej tych wozów kursuje po mieście, a jego ojciec dawno już wpłacił na ten cel dewizy. Zdumienie jego było bezgraniczne, gdy dowiedział się, że samochód wydano właścicielowi. Próbował protestować, jego sędziwy ojciec nie otrzymał przecież samochodu, który chciał kupić dla syna, ale odpowiadało mu wzruszenie ramion. Wtedy poszedł prosto na milicję.

Zanim do tego doszło prowadził przecież długą korespondencję z Bankiem PKO, zawiadamiając o tym, że ojciec opuścił wioskę Seroki i zamieszkał pod jego warszawskim adresem, na który prosił przesyłać zawiadomienia. Prosił o dostarczenie mu wozu SEAT, za który pieniądze wpłacił przed paroma miesiącami. Ojciec poświęcił na ten cel dolary, które przechowywał jeszcze z czasów okupacji (dolary traciła wartość, więc ojciec chciał je jakoś ulokować — zeznał potem syn Czesław) i pragnął zrobić godny prezent.

Wyświetlenie co stało się z samochodem, nie było trudne. Nici wiodły prosto do traktorzysty Stanisława A. z Seroki, który ciężko przerażony tym co zaszło, nie próbował niczego się wypierać.

Przyczyna nieporozumienia stała się zresztą wręcz jasna. Wiejski doręczyciel pomylił się i zamiast oddać zawiadomienie w posesji oznaczonej numerem 37 (dawny dom Stanisława A. — seniora), poszedł pod numer 47, czyli do naszego traktorzysty.

— Czy wiecie jaki macie numer domu? — pytali potem w śledztwie bardzo surowo, a Stanisław A. płatał się w odpowiedziach. Niby wiedział, ale nie wiedział. Bo kto tam na wsi patrzy na numery?

Ale przecież zanim zjawiła się u niego milicja wyłonił się już pewne podstawy do niepokoju. Nabywca wozu dr Jacek W. który chciał mieć drugi komplet kluczy do samochodu napisał do Stanisława A., a także przy tej okazji przyjrzał się bliżej wszystkim otrzymanym dokumentom. Zauważył wówczas, że figurują na nich dwa rozmaite numery dowodu osobistego nabywcy. Inny na zamówieniu, inny na umowie kupna-sprzedaży. Zaniepokojony poruszył tę kwestię w korespondencji ze Stanisławem A. Ale ten ostatni uspokoił swego klienta, że w tym okresie właśnie zmieniał dowód osobisty, i dawny miał inny numer (okoliczność ta nie została całkowicie wyjaśniona). Obiecał nawet przysłać urzędowe zaświadczenie, tylko urzędnik był na urlopie. Czy pisał w dobrej wierze, czy też świadomie wprowadzał lekarza w błąd? Pozostało to jego tajemnicą.

STANISŁAW A. ZOSTAŁ ARESZTOWANY, samochód odebrany lekarzowi i zabezpieczony do rozprawy. Do sądu wpłynął akt oskarżenia przeciwko Stanisławowi A. oraz pracownikowi stacji obsługi Czesławowi P., przez którego ręce przechodziła transakcja. Gdyby w dniu odbioru zadał sobie trud sprawdzenia numeru dowodu osobistego klienta PKO, który zapłacił za samochód i osoby zgłaszającej się z wezwaniem po odbiór — nie doszłoby do całego ambarasu.

Podczas rozprawy sądowej Stanisław A. nie przyznał się do winy, choć potwierdził wszystkie ustalone w śledztwie fakty.

— Przyznaję się do pobrania pomyłkowego — oświadczył przed sądem. — Kiedy otrzymałem wiadomość o odbiorze samochodu to się bardzo cieszyłem, że mnie spotkało takie szczęście.

A potem wspominał o wizycie kuzyna z Ameryki, który odwiedził go przed dwoma laty i obiecał jakiś poważny prezent. O otrzymanym samochodzie myślał, że to właśnie ten oczekiwany podarunek. Co prawda o kuzynie z Ameryki brak bliższych szczegółów, a sąd w uzasadnieniu wyroku dał wyraz wyraźnym wątpliwościom co do faktu jego istnienia. Nie wiadomo właściwie, czy ten amerykański kuzyn buja sobie gdzieś za oceanem, czy stworzyła go tylko wyobraźnia człowieka, pragnącego za wszelką cenę ratować swoją wolność.

— Nie miałem wątpliwości, że ten samochód należy do mnie — powtórzył raz jeszcze Stanisław A. — Nie chciałem przecież pojsć do więzienia.

Przez cały swój pięćdziesięcioletni żywot był człowiekiem uczciwym; co do tego nie miał zastrzeżeń żaden ze świadków pochodzących ze wsi Seroki. Nigdy nie wyciągał ręki po cudze, ani nie popadał w konflikty z prawem.

Bezpośredni zwierzchnik, kierownik kółka rolniczego w Błoniu, na sali sądowej wystawił mu jak najlepszą opinię (podobnie brzmiała opinia z miejsca pracy założona do akt sprawy). Przyznał też, że Stanisław A. pokazywał mu pismo o odbiorze samochodu i radził się czy samochód przeznaczony jest dla niego.

DRUGI OSKARŻONY, Czesław P., pracownik Behamot-Polmo, „wypożyczony” niejako do pomocy na stacji obsługi samochodów z powodu okresu szczególnego nasilenia dostaw, nie przyznał się do winy, utrzymując, iż nie on ponosi odpowiedzialność za niedopatrzenie tak brzemienne w skutki. Stanisław A. odbierał samochód w pierwszym dniu jego pracy, kiedy nie był jeszcze dobrze wprowadzony w tryb postępowania z klientami, nie mówiąc o tym, że sprawdzenie personaliów i dowodu osobistego zgłaszających się po odbiór należało do magazyniera.

Wyjaśnienia Czesława P. znalazły pokrycie w zeznaniach innych świadków. Wyłonił się z nich obraz chaosu, panującego przy realizacji zamówień na samochody zagraniczne. Właściciele, nikt nie umiał wyraźnie wskazać pracownika, który zawinił, wydając samochód niewłaściwej osobie.

Kilku świadków wspominało o magazynierze, ale on sam przesłuchany przez sąd oświadczył, że wykonał wszystkie swoje powinności. Sprawdzenie klienta, spisanie umowy, wypełnienie książeczki gwarancyjnej itp. należało przecież do biura.

Wśród wszystkich tych świadków błąkał się niefortunny nabywca samochodu, lekarz Jacek W., powtarzając, że SEAT kupił w dobrej wierze (co było zresztą oczywiste), a obecnie pozbawiony jest zarówno wozu jak i pieniędzy.

SĄD WOJEWODZKI, rozpatrując winę obu oskarżonych uznał, iż Czesław P. nie może ponosić odpowiedzialności za omyłkę jaką zaszła na stacji obsługi i uniewinnił go od zarzutu niedopełnienia obowiązku, przez co miał działać na szkodę Banku PKO.

Znacznie surowiej potraktowano natomiast głównego oskarżonego, Stanisława A. Sąd uznał, iż oskarżony perfidnie wykorzystał nadarzającą się okazję, aby zawładnąć samochodem stanowiącym własność przedsiębiorstwa uspołecznionego, przez co naraził Bank PKO na stratę znacznej wartości. Tak zresztą sformułował zarzut prokurator.

Kto zgarnie mienie społeczne znacznej wartości podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 5 (art. 201 kk.).

Ostatecznie Stanisław A. skazany został na karę 6 lat więzienia, 20 tys. zł grzywny, częściową konfiskatę mienia, utratę praw obywatelskich i zapłacenie wysokich kosztów procesu.

Samochód SEAT 850 na mocy wyroku ma być zwrócony PKO jako prawowita własność banku.

Lekarzowi Jackowi W., którego dobrej wiary przy kupnie samochodu nikt nie kwestionował, pozostało prawowanie się na drodze cywilnej ze Stanisławem A. o zwrot sumy zapłaconej za wóz.

Sąd przesycony światopoglądem materialistycznym nie wierzy ani w cud, ani w uśmiechy losu, ani nawet w to, że ktoś mógłby się w czepku urodzić.

Wyrok nie jest jeszcze prawomocny, a obrońca Stanisława A. wywodzi w swym piśmie rewizyjnym, że klient jego działał w nieświadomości. Istotnie, Stanisław A. nie wykazał żadnej inwencji, aby kogośkolwiek wprowadzić w błąd, nie fałszował żadnych danych ani dokumentów, zwracał się do ludzi, których uważał za mądrzejszych od siebie i bardziej wykształconych. Nawet sprzedając wóz, nie miał intencji oszukania nieszczęsnego nabywcy. Czy kara, która spada na jego barki, doprawdy nie jest za surowa?



23 grudnia imieniny obchodzą: Ancilla, Dagobert, Dagomer, Dagomar, Ferdynand, Stawomira, Wiktor.
24 grudnia: Adam, Ewa, Adela, Adalinda, Adalina, Azalea, Delfin, Delibab, Ewelina, Erwin, Erutha, Franciszek, Gloria, Hermina, Irena, Irma, Irmina (Irwinia), Lucjan, Noe, Noemi, Paula, Teofim, Zenobiusz.
25 grudnia: Anastazy, Anastazja, Bo-

tiond, Eugenia, Nera, Karaczon (Gratians), Noel, węgierska Zsni (Zeni - Eugenia).

26 grudnia: Denis, Denes, Dionizy, Istvan (weg. Stefan), Milosz, Stefan, Stefania, Szczepan, Teodor.

27 grudnia: Cezary, Dorian, Fabiola, Jan, Janos (weg. Jan), Maksym, Radomysław (Radomyśl, Radomyśl), Lazar (Elezar), Teodora, Teofan.

28 grudnia: Antoni, Aprod, Armin, Dobrosław, Bogusław, Gaspar, Godzistaw, Godzistawa, Gosciław, Kamila, Kasper, Kastor, Rufus, Teodor, Todor.

29 grudnia: Abel, Amaza, Aspazia, David (także 30.XII.), Gosław, Dokus, Jonatan, Milada, Noe, Tomasz, weg. Tamas, Tom, Trofim.

BOGUSŁAW, BOGUSŁAWA — imię starostwianskie i staropolskie, dwuczłonowe: Bogu-sław, -dający sławę

bogui" (sławiący bogi). Częste w aktach XII i XIII wieku, odnotowane również w formach Bogusław, Bogusz i Boguta. Od imienia tego nazwiska: Bogusławski, Bogusz, Boguszevicz, Boguszeuski, Bohusz, rosyjskie Bogusławowicz. Imię siedmiu książąt pomorskich.

JAN — z hebrajskiego: Jechochanan, Jochanan. W innych językach: Evan, Gian, Giovanni, Hans, Ian, Iwan, Janos, Jani, Jevan, Johan, Johann, Johannes, Joan, Joanes, Jon, Juan, Sean, Shawn, Zane, Jack, Jock, Johnnie, Johnny, Jonny. Z przysłów polskich: Hula, Jasio, hula, polki jeszcze młody; Jak nie Basie, dagim easie, Kto o Janie, kto o dżanie; Krol Jan Europę pan (o Sobieskim); Jak Apostoł pokazuje, taki marzec następuje (według wierzeń ludowych pogoda w trzecim dniu świąt jest prognozą na marzec): Jak na Jana po kolana, to święty Józef pociągnie trawę wozek.

MILADA — z serbskiego, „milda, kochana, lubiana”. Spotykane w Jugosławii, odnotowane w historycznych źródłach i literaturze serbskiej.

MIŁOŚĆ — podobnie jak Milada od wyrazu mil — „mili”; imię u nas pojawia się dopiero w XIX w.; serbskie Miłos.

ŚLAWOMIR, ŚLAWEK — starosłowiańskie i staropolskie, dwuczłonowe: pierwszy człon imienia od staro-cerkiewno-słowiańskiego wyrazu „sław”, drugi mir — „pokój”. A więc „sławiący pokój” (tąd: zedre, przycierze, pokolowy). Ponownie popularne od XIX w.

O ADAMIE I EWIE, DIONIZYM I SZCZEPANIE, było w zeszłorocznym numerze świątecznym. Wszystkim solenizantom tego tygodnia składamy tradycyjne życzenia „Sto lat” i miłego wyczynu świątecznego.



Na zdjęciach:

1. Obcisłe elastyczne spodnie do butów, obcisła góra typu kurteczka.
2. Modnie jest w tym sezonie jeździć na nartach w swetrze, ale u nas trzeba myśleć raczej o temperaturze i pogodzie niż o modzie.
3. Typowe stroje narciarskie. Ale jak to! Prze-

cież to są dzinsy włożone do bardzo grubych skarpet. Na pierwszym planie pikowany w dużą kratę jakby nadmuchany skafander. Moda na nieubieranie się daje nam narciarza niewystrojonego.

4. Spodnie golfy, grube skarpety, sweter golf, czapka włóczkowa, a góra może być dopasowana albo zupełnie luźna. Żywe, łatwe kolory: często niebieski, żółty, granatowy, czerwony, zielony.
5. A to strój typu zawodnik; hokejowe wałki na łokciach wyglądają tu bardzo stylowo. Z kolei w tym rodzaju stroju narciarskiego częsty jest ten element kontrastowego pionowego pasa.
6. Pikowanie w wielką kratę daje efekt skafandra nadmuchanego. Ale jest to skafander duży, luźny, nie ten mały obcisły.

NARCIARSKA

Hasło ogólne: kolory żywe (wszystko kolorowe do butów włącznie), spodnie wąskie.

Moda narciarska mało się zmienia, biegnie jakby osobnym nurtem, ale wiele rzeczy jest podobnych, lub tych samych co w cywilu — jeśli się człowiek ubierze sportowo. Na przykład można nosić tę samą czapkę włóczkową, tę samą kurteczkę krótką do pasa, a przede wszystkim ten sam sweter. Ponieważ tak bardzo modne są w tym sezonie swetry, więc i na nartach często się będzie jeździło tylko w grubym swetrze.

Nie mogę, mimo najszerszej chęci, zasygnalizować żadnej rewelacji, nie jest żywcem z lat 30-tych ani 50-tych, nie jeździ się na nartach ani w strojach rokendrolowych, ani cygańskich, tylko w obci-

ślych elastycznych spodniach z dość dopasowaną górą, albo w rzeczach typu nieprzemakalny nylon, może być kombinezon. Ale jakby przeważa w tym sezonie styl narciarz-turysta: spodnie golfy + grube welniane skarpety do kolan + ciepły sweter + ciepły nieprzemakalny duży skafander zwykle pikowany + czapka włóczkowa.

A cały ten styl narciarski bezpretensjonalny, nie nylonowoblyszący, określa nawet to, że na naszych zdjęciach przeważają osoby uprawiające bieg płaski, a nie efektowny szus, co polecam uwadze i przemysłowi przez Święta. Czy mam Wam życzyć, absolutnie ukochani Czytelnicy, aby Święta bardzo się Wam udały i abyście wszyscy utyli sobie ze 3 kg? Czy byłoby to nietaktowne? Hoff



Bitwa pod Koźmierzem. Kto walczyl z kim, kto odniósł zwycięstwo, kto poniósł klęskę? Pamiętaj, Cię zawiódł? Nie martw się, odpowiedź znajdziesz w następnym P.

PASJANS

DLA PLASTYKÓW (Z DWÓCH TALII)

Rozkładamy poziomy rząd trzynastu kart, dwanaście odkrytych, ostatnia zakryta. Reszta kart zostaje w zakrytym talonie.

Celem gry jest ułożenie na czterech krółach sekwensov malejących (K, D, W...) a na asach sekwensov wzrastających (A, 2, 3...). Sekwenisy te układamy rzędami pionowymi, najlepiej kłaść karty tak, aby jedna zakrywała pół drugiej.

Ale uwaga, sekwenisy zarówno na asach jak i na krółach kładziemy czterema kolorami na przemian. Każdy sekwenis ma ustalone następstwo kolorów. Skoro na początku ustaliliśmy następstwo kolorów, musimy do końca sekvensu przestrzegać tej kolejności.

Dla ułatwienia podajemy przykładową tabelkę. Na bazowych asach, które oddkładamy na górę układu będziemy zbierać sekwenisy wzrastające w kolorach:

- A kier pik karo trefl
- 2 pik karo trefl kier
- 3 karo trefl kier pik
- 4 trefl kier pik karo
- 5 kier pik karo trefl itd.

Aby pasjans był bardziej malowniczy, na krółach, które dajemy na górę po prawej stronie układu, zbieramy sekwenisy malejące w „odwrotnych” kolorach:

- K kier pik karo trefl
- D trefl kier pik karo
- W karo trefl kier pik
- 10 kier pik karo trefl itd.

Zasada chyba jasna.

W naszym przykładzie z poziomego rzędu odkrytych kart na górę układu na lewą stronę przenosimy A kier i karo, na które mamy 2 trefl i 2 karo; na prawą —

K kier, na którego mamy D trefl. To byłoby na razie wszystko. Rozkładamy znów trzynastu kart, zakrywając kolejno poprzednie karty i wolne miejsca w rzędzie, tak samo jak na początku odkryte — ostatnia zakryta. Porządkujemy, pasujące karty przenosimy na bazowe. Zawsze operujemy górnymi kartami pakietów — bo zaczęła się nam tworzyć pakiety. W trakcie gry, o ile nam coś to da, możemy przynieść pasujące sekwenisy z królow na asy i odwrotnie.

Gdy wyczerpiemy wszystkie karty z talonu, zbieramy trzynasty, zakryty pakiet, odkrywamy go i bierzemy wszystkie potrzebne na bazowe karty. Pozostałe dokładamy do pakietu dwunastego, ostatniego odkrytego. Zbieramy wszystkie pakiety od strony prawej i nie tasujemy tworzymy nowy talon, który rozkładamy jak poprzednio, dwanaście kart odkrytych, trzynasta zakryta. Dalej postępujemy jak na początku pasjansa.

I mamy prawo po raz trzeci i ostatni rozłożyć talon j.w. Pozbierałeś wszystkie kolorami na przemian? Musisz przyznać, że wygląda to bardzo malowniczo.

(Pasjans nadesłał Andrzej P-R z Krakowa. Dziękujemy.)

*

KORESPONDENCJA PASJANSOWA • P. Leszek Bugaj — z W-wy. Pierwszy pasjans drukowaliśmy w P. 1424 (22.7.72 r.) i od tej pory w kolejnych numerach drukowaliśmy pasjans. Jeśli Pan chce uporządkować swoje zbiory to radzimy poszeregować pasjansy na jedno- i dwutalowe, a te z kolei w zależności od stopnia trudności. Niestety, spisu tytułów nie możemy wydrukować, zajęłoby to za dużo miejsca. Nawzajem łączymy pozdrowienia. JK

TO ROZRYWKA ZDROWA I TANIA

- 15 zdejmij ze stołu! Na Święta połóż obrus!
- 19 w świąteczne dni odśpawaj
- 21 wąż nieważ
- 22 soku malinowego nie zdążyła zrobić
- 24 nie trzaskaj!
- 26 3 minuty na ringu

Pomnijcie czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązania krzyżówek do ożarku 27 grudnia (decyduje data stempla pocztowego), zostaną rozlosowane następujące nagrody: medalion (barwny, malowany na kości słoniowej), sfotografowany czarno-biało przy tej krzyżówce. Będzie to PIERWSZA nagroda. Miniaturka malowana przez Antoniego Połębskiego. Poza tym jak zwykle 5 paczek (po 100 zł każda) Fabryki Kosmetyków Pollena-Lechia oraz 10 nagród książkowych. Nagrody zostaną rozdane w terminie dwutygodniowym.

ZABAWA Znajdź przynajmniej dziesięć filmów, w tytule których byłoby jakieś zwierzę. Wyszukane przez nas przykłady podamy za tydzień.



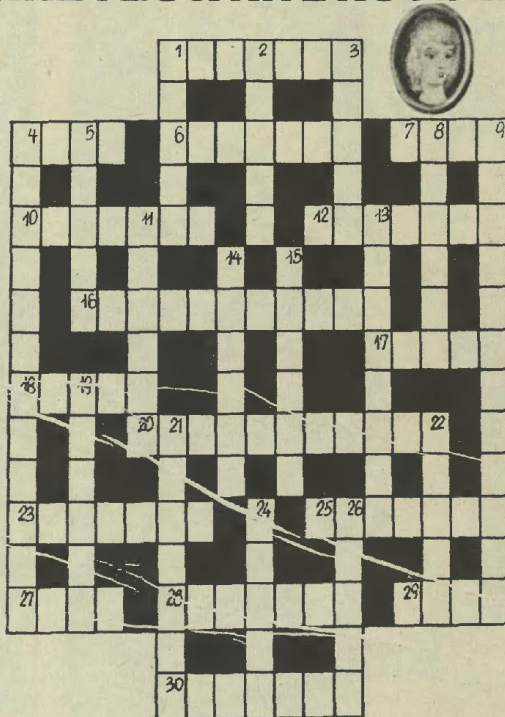
POLLENA-LECHIA składa wszystkim swoim klientom najserdeczniejsze życzenia świąteczne i noworoczne. Jednocześnie POLLENA-LECHIA poleca świetną wodę kwiatoową RONDO w aerozolu (45 zł) K-7072

ROZWIĄZANIA

ZABAWA-MIESIĄC, PORA ROKU z poprzedniego P.: Jesienne róże, Koniec jesienny. Nie bójmy się jesieni. Lato, lato, Dziewczyny tańczą jedno lato. Ty zapomnisz o letniej przygodzie. Szkoda lata, Jesienna rozłąka. Pamiętasz, była jesień, Już za nami barwy lata.

Klęska czy zwycięstwo z poprzedniego nru: Bitwa pod Termopilami (480 r. p.n.e.). Zwycięstwo Persów nad Grekami pod wodzą Leonidasa broniącymi jedynego przejścia do Grecji Środkowej.

KRZYŻÓWKA Z KOCIĄKIEM (W MEDALIONIE)



POZIOMO:

- 1 ptak od piórka
- 4 na aktualnym stole
- 6 drga na wodę
- 7 pieniądze albo życie!!!
- 10 pani Słowacka
- 12 do pieczeniowego restaurowania
- 16 Kunciewiczowej
- 17 furca wróciła do ciebie
- 18 świetna rola Anthony Quinna
- 20 wino, nalewka, koniak na świątecznym stole
- 23 birmiańska woda
- 25 w przyborniku kresiarza
- 27 duża niechęć
- 28 dawny żeton zastępujący monetę przy rozliczaniu się w grze
- 29 w nich ekran TV
- 30 drzewko z tradycja

PIONOWO:

- 1 antrakt w nauce
- 2 sam wzór
- 3 hej na wysokiej
- 4 Cyryl cośik się tam cyrni
- 4 Pinus montana pod ochroną
- 5 do rytów
- 6 ciepły w rękawiczkach
- 9 paragon
- 11 u nas herbata, w Indiach port nad zatoką Bengalską
- 13 kraj z Amazonką
- 14 wieje nią spod drzwi

Rozwiązanie krzyżówki prosimy nadsyłać do Redakcji Przekroju, 30-960, Kraków, skr. pocztowa Krzyżówka 98.

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki z nru 1495 P. nagrody wylosowali: medalion — Maria Wolków, Kluczbork; paczki kosmetyczne — Ryszard Nowak, Poznań; Alfred Woloszyński, Łódź; Irena Grzybałowska, Nowy Dwór Maz.; Krystyna Trzeciak, Jelenia Góra; Anna Brzesna, Piotrków Tryb.; Książki — Tadeusz Babiński, Mędzdechów; Kazimiera Sławska, Katowice; Tomasz Szponder, Kalisz Wlkp.; Krystyna Chochla, Białystok; Franciszek Kolonko, Międzychód; Adam Trawiński, Puławy; Wacław Kowalczyk, Brzoza; Maria Chylińska, Wrocław; Eugeniusz Poślada, Elbląg; Teresa Malczewska, Detroit (USA).

KORESPONDENCJA • Prof. dr inż. Andrzej Grossman z Gliwic. — Naturalnie z naukowego punktu ssaki są gromadą. W krzyżówkach nie stosujemy „ścisłych” określeń. Słowo rodzina znaczy u nas to samo co familia. JK

SERIA 23 HISTORIA ŚWIATA W RYSUNKACH ERYKA LIPIŃSKIEGO



— Ludwik XIV: — Państwo — to ja!...



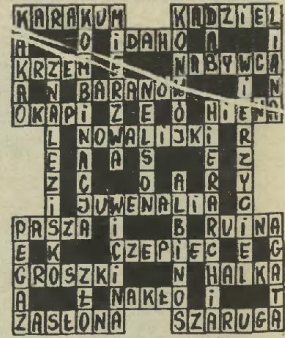
— To świetny wynalazek, monsieur Guillotin! Król będzie szczęśliwy, jak mu się tym przyrządem zetnie głowę...



— Co tam może być po drugiej stronie Ziemi!...

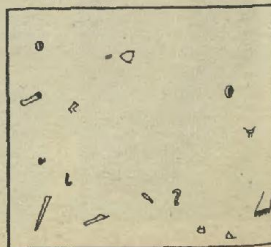


— Nazywam się Kolumb, to zobowiązuje, strasznie chciałbym wyjechać i coś odkryć...



Z nru 1497

„Wytycz wzrok” ze str. 12-13



WYDAWCA: KRAKÓWSKIE WYDAWNICTWO PRASOWE RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH” W KRAKOWIE REDAGUJE ZESPÓŁ Drukarnia Wydawnicza Przedsiębiorstwo Państwowe UL. WADOWICKA 8 KRAKÓW

Nr indeksu — 37210

1096/73

ADRES REDAKCJI: 31-110 KRAKÓW, UL. MANIFESTU LIPCOWEGO 19 a, TEL. 559-54 LUB 30-960 KRAKÓW I, SKRYTKA POCZTOWA 533.

ADRES WYDAWCY: KRAKÓWSKIE WYD. PRASOWE RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH”, 31-007 KRAKÓW, UL. WISŁNA 2, I p. TEL. 553-62 — 278-41 BIURO OGŁOSZEŃ I REKLAM: 31-007 Kraków, Wiślna 2, I p. tel. 553-40 REDAKCJA NIE ZWRACA NIE ZAMÓWIONYM REKOPISÓW, FOTOGRAFII I RYSUNKÓW. Cena prenumeraty krajowej: rocznie 260 zł, półrocznie: 130 zł, kwartalnie: 65 zł. Prenumeratę przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. • Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 4-6-777 RSW „Prasa-Książka-Ruch” PUPIK Al. Pokoju 5, 30-960 Kraków. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem Oddziałów i Delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Pozostałe — mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów i delegatur zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych. • Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23 00-840 Warszawa. Konto PKO Nr 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%. Wszelkich informacji w sprawie warunków prenumeraty udzielają placówki „Ruchu” i poczty. Za dzień ogłoszeń redakcja uważa dzień wydania. © digitalizacja: mbc.malopolska.pl

Z numeru 193/194 (podwójny) na święta 1948

Jerzy Zaruba

O GALCZYŃSKIM

(w Pamiętnikach bywalca)

Przez pewien czas i Zaruba i Galczyński mieszkali po sąsiedzku w Aninie:

Pamiętam jak kiedyś, podczas przyjęcia na część jesieni (rydzo do swego lasu przywoziłem od Pakulskich z Warszawy), przyszedł Galczyński, którego przedstawiłem licznemu towarzystwu jako znajomego portreciście — Zamoyskiego. Po paru kieliszkach Konstanci Idelfons tak wszedł w swą rolę, że zaczął przyjmować zamówienia na portrety i umawiać się z ładniejszymi „modelkami” na pozowanie do aktu.

(...) W czasie swej ostatniej wizyty u mnie w Łodzi (1947) przyszedł i zapytał się, czy może

się wykapać. Ponieważ był zgrzany a piec gazowy w łazience — zepsuty, powiedziałem, że jest to niemożliwe, bo nie można zagrzać wody. To głupstwo, pociągnął Konstanci, jeżeli woda zimna, wykapię się w palcie...

List z Jółkłem

W SPRAWIE

PORTRETOW,

czyli

UŚWIETNIENIA

I USPRAWNIENIA

GWIAZDKOWEGO

NASTROJU

Szanowny Panie

Redaktorze!

Brak czasu (przebieganie 8-12 wieczorów autorskich dziennie, pierwszy wieczór o piątą rano dla zebranych zatrudnionych przy dzwonieniu) nie pozwała mi na dłuższe uzasadnienie. Dlatego też niniejsze przesyłam w formie krótkiej instrukcji:

Do Izby Skarbowych Brzechwę w złotych ramach odpowiednio przystrojonych festonami ze świeżej jedliny.

W restauracjach i innych lokalach gastronomicznych - rozrywkowych portrety Minkiewiczza. Widok melancholijnych oczu Minia może niejednemu smutnemu, że tak powiem, odstraszyć i sprowadzić na drogę cnoty.

Portret Jerzego Andrzejańskiego doskonale będzie wyglądał w lokalach związkowych Związku Palaczy w Ogrzewaniu Centralnym, oraz na wystawach jubilerów, z uwagi na „Popiół i diament”.

Kazia Brandysa, specjaliste od nagród miejskich we wszystkich magistratach. Zaś co do portretów: Braci Rojek, mojego, Kamyczka i Waldorffa, to raczej nie. Proponuję od razu posągi.

Karakullambro

Jan Kamyczek

SAVOIR VIVRE

ŚWIĄTECZNY

NIE WYPADA:

(fragment)

• ubierać się do Wilii w czarną suknię, gdyż jest to uroczystość radośna, której nie należy zakładać ponurym strojem. Osoby będące w żałobie, albo posiadające jedną jedyną suknię — własnie czarną — niech włożą chociaż białe zabójki.

• ubierać się do Wilii w suknię mocno dekolowaną, gdyż Wilia jest kolacją familiarną, do której zasiadają wszak i niewinne dzieci.

NATOMIAST WYPADA:

(fragment)

• zaprosić na Wilię sublokatora, który jest kawalerem i nie ma w tym mieście rodziny. Sublokator może przynieść parę kwiatków dla gospodyni domu, albo parę zabawek dla dzieci.

BOKIEM



FILETON NADZWYCZAJ KRYTYCZNY ANDRZEJA WARCHAŁA

Święta w pełnej krasie! Kometa Kohoutka przelatuje nad naszymi głowami. Naczelny organ polskiej astrologii — „Przekrój” tym razem radzi jak się dobierać parami. Małżeństwa według znaków zodiaku. Można by się było nawet nad tym zastanowić, gdyby nie fakt, że w redakcji sami rozwiedzeni albo jeszcze nie dobrani. Ale też najtrudniej być prorokiem dla samego siebie.

Jak żyć w święta? A raczej jak je przeżyć?

I nie mam tu na myśli diety, ale zdrowy ogół społeczeństwa, skracający się z nudów wśród bliższej i dalszej rodziny, czekający przed telewizyjną rozrywką.

A więc jak przeżyć? EKSPERYMENTALNIE (sprawdzone na grupie ochotników w ośrodku doświadczalnym w Bochni).

Poczynając już od wigilii, nie myć się, nie golić. Nie odpowiadać na żadne pytania, nawet gdyby były to pytania dziennikarzy. Zamknąć się w sobie. Jeść mało i z widocznym niesmakiem, wódkę przeznaczając na cele dobroczynne. Choinki nie ubierać, jeśli już ja nieopatrznie kupiłeś. Udekorować drzewo przed domem.

W pierwszy dzień świąt zerwać się wcześniej z łóżka i wyjść jak gdyby nigdy nie do pracy. W wypadku nie dostania się do biura, wrócić do domu i natychmiast zepsuć telewizor, jeśli wcześniej tego nie uczyniłeś. Z obiadowego indyka zrobić sobie pośmiewisko. Do wieczora ćwiczyć solfeż, rozciągać sprężyny.

W wypadku przyjęcia krewnych, pokazywać palcem na siebie, pukać się w czoło. Potoczy się spać w ubraniu, żeby rano nie musieć, bez sensu, po raz drugi ubierać się. Wyjść tak jak i wczoraj do pracy, ale pomny efektu zawrócić z potowy drogi.

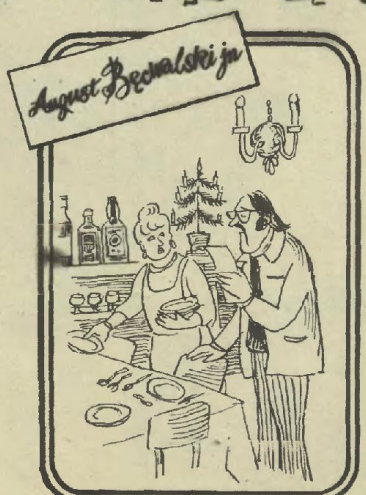
Wysłać dzieci do szkoły, a jeśli będą protestować, zmieknąć i napisać im w dzienniczku usprawiedliwienie nieobecności. Sprawdzić w piwnicy czy kajak nie przecieka i nie nikomu nie mówiąc, zabrać się do pisania powieści z życia wyższych sfer.

Na następne święta będziesz miał z pewnością innych, miłych ludzi wokół siebie.

*

FIRMOWY, PODRĘCZNY KALENDARZ RUBRYKI BOKIEM NA ROK 1974.

365 (dni w roku): 7 (dni w tygodniu) = 52,1428571... poniedziałków, wtorków, śród, czwartków, piątków, sobót, niedziel (średnio). 8 świąt.



— Walczakowskiego nie zaprosiłem. Idzie w nowym roku na emeryturę...

USA

„KABARET”

Liza Minnelli w Berlinie lat trzydziestych...

Moi Drodzy!

Kabaret jest filmem tak urzekającym, tak niezwykle umiejętnie łączącym musicalową rozrywkę z obrazem obyczajowym i nutą polityczną, że właściwie jest w swym gatunku czymś bez precedensu. I czymś, co naśladować będzie bardzo trudno — trafność i urok tego dzieła wydaje się sukcesem jednorazowym, wyważeniem proporcji — niepowtarzalne!

Berlin z początkiem lat trzydziestych. Hitlerowska partia dochodzi do władzy; pierwsze oznaki katastrofy są najpierw nieśmiały, nie traktowane poważnie, potem — groźne, dramatyczne, ale — wtedy już nie do pohamowania, nie do wstrzymania... Oglądamy to wszystko z perspektywy trzeciego, przedwojennego berlińskiego kabaretu; w gwarze jego frywolnych dowcipów, jego specyficznej obyczajowości, jego drobnych sukcesów i coraz bardziej dokuczliwych kłopotów.

Film jest niezwykły, lecz niecodzienny jest także jego rodowód. Z powieści Isherwooda *Goodbye to Berlin*, popularny dramaturg broadwayowski John Can Druten napisał sztukę (*I am a Camera*), że sztukę z trzech panów przerobiło na musical, a z musicalu — reżyser i choreograf Bob Fosse, nakręcił film. Film, który obdarzono siedmioma Oscarami i który zyskał ogromny sukces w świecie. Jego treść?

Sentymentalno-erotyczne konflikty bohaterów; dwu zakonanych par, na tle ponurego coraz bardziej nazistowskiego Berlina. Pierwsza para — to zabawna i energiczna piosenkarzka kabaretowa i jej współlokator, młody nauczyciel angielskiego, druga — jego przyjaciół i piękna Żydówka z bogatego domu. Ich szczęście jest na ciągłej huśtawce, warunkowane przemianami zachodzącymi wokół nich, w Niemczech.

Ówczesne Niemcy: tężająca atmosfera grozy, znakomicie w filmie uchwycona (zwróćmy uwagę choćby na wstrząsającą scenę intonowania hitlerow-

skiej pieśni przez chłopaka z Hitlerjugend, o twarzy cherubinka). Klimat dekadencki, nastroj oczekiwania „na potop” rozluźniający obyczajowość, rezygnację z perspektyw, na rzecz wykorzystania życia póki można... Jest tu coś z *Blękitnego anioła*, ale wzbogaconego doświadczeniami następných czterdziestu lat, świadomością, co z tego wszystkiego wynika.

W tytułowym kabarecie, Bob Fosse bardzo sprytnie łączy styl spektakli z epoki *Blękitnego anioła*, z piosenkami, które nioszą się w tamtej konwencji są jednocześnie znakomitymi przebojami „na dziś”. Coż w tym kabarecie za wystrój sali, co za typy, co za „numery”, prowadzone przez Joela Grey — w jego znakomitej kreacji konferansjera! No i, naturalnie, Liza Minnelli! Jedną z trzech (obok Barbry Streisand i Joanny Woodward) aktualnie najwybitniejszych indywidualności wśród amerykańskich aktorek i bodaj największą indywidualność wśród amerykańskich piosenkarek.

Minnelli, 27-letnia córka sławnej, niezłazającej sceny aktorki i aktorki Judy Garland i znanego reżysera Vincenta Minnelli, dziś przewyższa już swą pozycją i popularnością, oboje rodziców. Gra, śpiewa, tańczy, potrafi być nieodparcie zabawna i szczerze wzruszająca; ma arcygrabną figurę, niezbyt ładną twarz i wspaniałe, piękne, pełne wyrazu oczy.

To Minnelli w dużej mierze, decyduje o sukcesie *Kabaretu*, chociaż trzeba przyznać, że materiał na rolę ma świetny i piosenki świetne; tutaj wszystko spłata się łączy w wyborną całość... Oboje Lizy Minnelli — Michael Grey; wspomniany już, absolutnie znakomity Joel Grey; Helmut Griem i — jedna z najmłodszych aktualnie aktorek amerykańskich, interesująca zresztą i ładna, popularyzowana tą właśnie rolą — Marisa Berenson (jako Natalia Landauer).

Zobaczcie *Kabaret* koniecznie! To naprawdę gorzka rozrywka, ale — na najwyższym poziomie!

Aleksandra

Tradycynie:



Właśnie robicie ostatnie przedświąteczne zakupy, a wśród nich na pewno nie brakuje ryb. Zastanawiacie się może jak ułożyć wigilijne menu. Dawniej otwierała tę kolację zwykle zupa rybna, grzybowa albo barszcz z grzybowymi uszkami. Teraz zazwyczaj zimne przystawki, a wśród nich np. śledź i ryba w galarecie, potem zupa, potem ryba na gorąco, desery. Dla ułatwienia w zestawieniu tego menu, a zarazem urozmaicenia tradycyjnych potraw, kilka propozycji:

ŚLEDŹ w śmietanie

Wymoczyć, obrać z ości, optukać i filety przekroić na półki. Obraną cebulę skroić w półplasterki. Obraną jabłko skroić w paseczki. Zmieszać razem z cebulą i zalać śmietaną. Do tego sosu można dodać jedną rozdrobnioną kłk, kaparkę, trochę pieprzu do smaku. Zalać nim śledzie, wymieszać i niech tak postoją 1-2 godziny do czasu podania.

PASZTECIKI z ryb

Można je będzie podać do czerwonego barszczu, a na ich przygotowanie nadają się zarówno surowe, mrożone ryby morskie, jak i słodkowodne. Rybę po odmożeniu obrać ze skóry i ości, drobno posiekać, posolić i uduśić na maśle lub margarynie z drobno posiekaną cebulą. Odstawić i ostudzić. Dodać trochę bulki namoczonej i odcisniętej, posiekanych, osobno uduśzonych pieczarek i pieprz do smaku. Wbić żółtko, dolać trochę śmietany i wymieszać na masę.

Tak przygotowaną rybę należy do małych muszelek (kokilek) i przed podaniem wstawić na pół godziny do piekarnika. Podać polane masłem topionym z tartą bułeczką.

Tym samym farszem można napelnić naleśniki, zwinąć je w krolejki, obtoczyć w jajku i bułce, przed podaniem obsmażyć.

KARP w piwie

Butelkę jasnego piwa zagotować z pokrojoną cebulą, korzeniami (goździk, angielskie ziele, odrobina gałki muskatowej, pieprz), łyżeczką cukru i plasterkiem pieprnika. Jak cebula będzie miękka, włożyć do tego wywaru oczyszczonego i pokrojonego w dzwonka karpia. Jeśli był świeżo bity, to razem z krwią. Chwilę potrzymać w wywarze i rybę wyjąć. Wywar przetrzeć przez sito, wlać znów do rondla, podprawić łyżką masła rozartego z łyżeczką maki, dolać szklankę czerwonego wina, trochę soku z cytryny i w tym sosie dusić karpia do miękkości. Mieszać, aby się sos nie przypalił.

I jeszcze 3 RADY

• Aby wypatroszyć rybę, rozciąć ją OD OGONA przez brzuch ku głowie.

• Noża zbyt nie zagłębiać, aby nie rozciąć żółci, bo cała ryba zgorknie.

• Gotować ryby bez przykrycia (mają lepszy smak) i na małym ogniu, aby się mięso nie rozlażywało.



